№ 26. Warszawa, dnia 28 (16) Czerwca 1884 r. Rok IV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Włodzimierska Nr. 2.**

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Do obecnego numeru w dodatku *Prawdy* dołączamy ostatnie arkusze książki J. Brandesa *Główne prądy literatury XIX stulecia*. Stali więc abonenci nasi posiadają dziś w bibliotece swojej czterotomowe dzieło, które należy do najznakomitszych w piśmiennictwie europejskiem i którego wielką wartość oceniła tak szybko publiczność nasza, że je rozchwytała, zanim ukończonem zostało. Pomimo znacznego nakładu, przerastającego o kilkaset egzemplarzy abonament *Prawdy*, dzieło to jest *już wyczerpanem* i ani jednego kompletu do sprzedaży nie posiadamy.

Brandes wydał niedawno tom piąty, ale ponieważ zamierza jeszcze przygotować szósty, tymczasowo więc zamykamy przekład nasz na czwartym, na którym on pierwotnie swoją pracę zakończył. Gdy ona dobiegnie do ostatecznego kresu, i my wydrukujemy przy *Prawdzie* jej dopełnienie. Bez omyłki zapewne mamy to przeświadczenie, że w *Głównych prądach* dostarczyliśmy czytelnikom naszym bardzo piękny i oryginalny obraz literatury XIX w. Jest to książka, zawierająca nietylko bystre spostrzeżenia, głębokie wywody i wyniki rozległych studyów, ale nadto przedstawia niezwykły wdzięk formy. Czytać ją i uczyć się z niej może każdy. W żywym i barwnym jej wykładzie śmiałe myśli błyszczą światłem najszlachetniejszych klejnotów.

Jak już zapowiedzieliśmy dawniej, dalsze zwiększone bezpłatne dodatki do *Prawdy* zajmie w czterech kwartałach

EKONOMIA SPOŁECZNA

przez J. Piaseckiego opracowana według obszernego dzieła, na które złożyli się najznakomitsi ekonomiści niemieccy a wydał niedawno G. Schönberg. Książka ta, zawierająca około 400 stronic druku ósemki, kosztować będzie w handlu księgarskim rs. 2 k. 50., miejsce zaś jej w naukowem piśmiennictwie naszem, pomimo niedawno wydanych kilku podręczników tej nauki, zajętem dotąd nie zostało. Żaden bowiem ani zakresem, ani treścią nie odpowiada tej potrzebie umysłowej, którą odczuwają czytelnicy *Prawdy*.

Czyniąc zadość licznym żądaniom układamy *Katalog dla samouków*, który służyć będzie za drogowskaz kształcącym się samodzielnie. Katalog ten z wielu powodów nie mógł być tak szybko ukończonym, jak pragnęliśmy; wyjdzie on jednak niezawodnie przy końcu roku bieżącego; prosimy więc o cierpliwość tych, którzy go nam przypominają.

Spółka Nakładowa zawiadamia prenumeratorów *Etyki* Spencera, że książka ta wyjdzie w końcu bieżącego lub na początku przyszłego miesiąca, gdyż obecnie powstrzymuje ją tylko druk krótkiego dodatku, który Spencer dopisał.

Od 8 lipca Redakcya i Administracya PRAWDY mieścić się będą w domu przy ulicy Zielnej nr. 7-a.

NIEMOC I OBOJĘTNOŚĆ.

„Oceniając dochód z przestrzeni obecnie uprawianych i z przestrzeni, które mogą być zdobyte na wodach, przerazimy się naszą ospałością i musimy uznać się za winowajców strat bez miary, jakich pada ofiarą zaniedbana dolina Wisły. Budujemy koleje żelazne a zaniedbujemy otoczyć opieką nadbrzeżnych rolników, hodowców pożytecznych zwierząt, ludzi właśnie, którzy zaopatrują nasze targi artykułami spożywczymi bez nadmiernego wyzyskiwania nas. Niech ułożą mapę hydrostatyczną kultury Wisły, niech do niej dodadzą stan rolnictwa, a przekonamy się, że nienapróżno podjęlibyśmy środki energiczne dla położenia kresu niszczącemu działaniu wód i że wykonanie takiego projektu byłoby najszczytniejszem dziełem naszej epoki. Co powie o nas potomstwo, jeżeli w obecnym czasie, tak obfitującym w zasłużonych inżenierów, kierując się ścisłą oszczędnością, budujemy tylko, i to napróżno, kilka grobli zanurzających się wzdłuż brzegów Wisły dla oddalenia podmywającego nurtu w celu, jak powiadają, amelioracyi kanału nawigacyjnego? Podobny system, w niczem nie wpływając na stan i bieg wód, staje się fatalnym dla wybrzeży w chwilach, kiedy wody wzbiorą nad poziom tych grobli. Nie można go nawet uważać za środek paliatywny, któryby, nie niszcząc złego, zapobiegł jego rozszerzeniu... A jakiej przyszłości i następstw możemy się spodziewać z obecnego stanu Wisły, jeżeli uporczywie zostaniemy przy naszej opieszałości? Jeśli

dozwolimy wodom podmywać brzegi aż do zupełnego zniszczenia kotliny, wówczas one zaatakują wysokie wybrzeża i podmyją planty naszych kolej żelaznych. A co zrobią nasi rolnicy?.. Wybudują dla nas pomnik przekleństwa!“

Takie upomnienia i groźby pisał w r. 1867 inżenier Wisły, francuz Marek Lajourdie, którego listy, uregulowaniu tej rzeki poświęcone, wydała niedawno w polskim przekładzie redakcya *Korespondenta płockiego*, nie przewidując, jak prędko straszna klęska ponownie sprawdzi ich obawy. Wisła wylała z niezwykłą siłą, pustoszącą nadbrzeżne wsie, łąki i pola. Najwyższy jej przybór (jak 26 lipca 1844) wzniósł się w Warszawie do 22 stóp wysokości. Jednocześnie wystąpiły z brzegów wszystkie jej przypływy, tak, że dziś ziemie polskie przedstawiają w rozległym obszarze bolesny obraz spustoszenia. Zarówno porzecza Królestwa jak Galicyi ślą Hiobowe wieści. Potopione wsie i ich dobytek, poobrywane lub zamulone pola z zasiewami, pozrywane domy, porozbijane tratwy — nikt nawet przybliżonym rachunkiem nie obejmie milionowych strat, z pod których wydobędą się licznym tłumem nędzarze. Na ten okrzyk odpowiemy tylko jałmużną, nie zaś usunięciem przyczyn stale powtarzającego się nieszczęścia. Czy wszakże za to należy nam się „pomnik przekleństwa?“

Zacny francuz, który z doliny Wisły chciał „zrobić drugą Ukrainę,“ który ją zbadał, przedstawił również sposoby ubezpieczenia się przeciwko jej szaleństwom. Według Lajourdiego, system grobel ochronnych, dotąd częściowo u nas wykonany, nie zapobiega złemu; zmusza bowiem do nadsypywania ich nad rzekami, których koryta (Wisła) ciągle się podnoszą, a przy przerwaniu takich grobli woda, spadając ze znacznej wysokości, zalewa przestrzenie. Tak właśnie zdarzyło się zeszłego roku we Włoszech. Skutkiem tego autor zaleca dla uregulowania Wisły system basenów tamujących i osadowych, których koszt oblicza na 15,000,000 rs. Nie będziemy tu rozstrzygali kwestyi czysto technicznej i oświadczali się za takim lub innym systemem, to wszakże zaznaczymy jako pewnik, że szkody poniesione w wylewach Wisły wielokrotnie już przewyższyły najwyższe koszta jej regulacyi. Taki rezultat dotąd. Pozostaje wszakże jeszcze przyszłość, która do tej przerażającej sumy strat dołoży nowe — ale czy dopisze do nich dla nas klątwę? Nie. Wprawdzie my jesteśmy społeczeństwem bardzo niedojrzałem, pojmujemy zwykle potrzeby, które nam nóż kładą na gardle a uczymy się gospodarstwa w klęskach i najżywotniejsze interesy kraju umiemy poświęcać dla mar nieuchwytnych, ale takie przedsięwzięcie, jak ujarzmienie koryta Wisły, od nas już nie zależy. Możemy tylko pisać przez nikogo nieuwzględniane artykuły, wzdychać do lepszych czasów i płakać nad nieuchronnem nieszczęściem.

W innem położeniu znajduje się Galicya, której wielkich polityków tegoroczna powódź — niestety, kosztem biednego ludu — ochłostała za obojętność względem tak ważnej sprawy, pomijanej dla bezpłodnych spekulacyj dyplomatycznych. Gdy niektóre pisma ciągle wyrzucały Kołu polskiemu brak energii w popieraniu regulacyi rzek, uważano te skargi za mizerne przyczepki warchołów, którzy nie mogli znaleźć godniejszego dla swych napaści przedmiotu. Teraz tysiące rodzin zrujnowanych i skazanych na żebractwo świadczą, ile w tych sarkaniach było roztropności, a ile w „oszczędzaniu kłopotów rządowi“ niedołęstwa. Obciążono kraj podatkami, obarczono go dla pięknych oczu ministeryalnych funduszem indemnizacyjnym i oto do tylu brzemion przybywa nowe, wylewy rzek, które niegodne były kłopotać ojców ojczyzny. Zaiste zrujnowani wieśniacy galicyjscy mieliby prawo wystawić „pomnik przekleństwa“ swym opiekunom w Wiedniu. Jeden pan dał kilka, drugi — kilkanaście, a trzeci — kilkadziesiąt lub kilkaset guldenów*), ale czy to biedakom wróci ich stracone mienie, czy ich ubezpieczy przeciw nowym klęskom? Przez czas pewien pióra będą głośno skrzypiały dla poruszenia Koła w kierunku regulacyi rzek, ale wkrótce ono utknie na jakimś wertepie dyplomatycznym, bo przecież nie jest to kwestya, którąby obchodziła Europę.

Dotychczasowe wiadomości z Królestwa nie pozwalają jeszcze ocenić ogromu spustoszeń. To tylko pewna, że miłosierdzie publiczne musi się zdobyć na poważną ofiarę. Zaczęto już zbierać składki, do których *Prawda* również czytelników swych wzywa. Nie zrównoważymy tą ofiarą niedoli, ale przynajmniej złagodzimy jej bolesność. Chociaż jesteśmy wobec niej bezwładni, nie bądźmy przynajmniej obojętni.

NOWE FANTAZYE NA STARY TEMAT.

W różnorodnych publicystycznych melodych uporczywie powtarza się jedna i taż sama przygrywka — sprawa upadających posiadłości większych. Niedawno jeszcze łudziliśmy się nadzieją, że sprawa ta wreszcie pogrzebaną została; owszem, słyszeć się dały nawet optymistyczne zapatrywania, zwłaszcza z powodu projektów zwiększenia pożyczki Towarzystwa kredytowego. Pisma stojące na straży interesów ziemiańskich probowały przekonać wszech i każdego, że własność wielka u nas kwitnie i że do zupełnego jej rozwoju brakuje jedynie — obfitego kredytu. Słowem, w miarę potrzeby stan gospodarstw wielkich podnosił się lub upadał; teraz kiedy nowa pożyczka została przyznaną, dowiadujemy się znowu, że one giną i domagają się szybkiego ratunku.

P. A. G., który już niejednokrotnie kruszył kopię na tej arenie, odezwał się w *Ni-*

*) Cesarz austryacki ofiarował 8,000 złr. a rząd... 50 centnarów soli w nadziei zapewne, że biedacy, pobudziwszy nią pragnienie, niszczącą ich wodę wypiją. Nowy to sposób zapobiegania powodziom.

Chłopska komisya.

I.

E, co to wam, młodym *andrusom*[1]) gadać!... Po mieście trotoarami chodzą, *chodaki*[2]) wysmykują, wielka mi sztuka! A schwycą *pająki*[3]), to i cóż? Wsadzą do *ula*[4]), poturbują trochę, albo nie, i po całej historyi. Wam by ot... Ale gdzież wam? Was na samo gadanie o tem, mrowie po plecach przechodzi. Alboż wy wiecie, co to chłopska komisya? Tam to się takiemu letkiewiczowi dostać, a wiedziałby po czemu pieprz!...

Ja się nie chwalę. Byli tacy, co zakosztowali gorszej sałamachy. Ale i mi się dało we znaki. Ha cóż, tak już, jak się widzi, przypadło człowiekowi. Czy los garbaty, czy ludzie, kto to może wiedzieć! Dosyć, że całe życie takie. Ot, już dwudziesty rok siedzę w kryminale, a wam się może zdaje, że to jak palcem przekiwać? Niechno na świat puszczą — ja znów do swego... Tutaj to jeszcze od biedy nie najgorzej. Bywało nieraz i słono i gorzko, a osobliwie, gdy człek popadł w chłopskie ręce. O, wtedy nieboraku, płacz nie płacz, prośba nie prośba, nic nie pomoże.

Ot, pewnego razu, w jednej wsi, w której nie powiem, bo i tak na nic się to wam nie przyda — dosyć, że oporządziłem tam jednego bogacza. Roboty było dosyć, w komorze jak w sklepie, krótko mówiąc, było tam wszystkiego, czego tylko dusza zapragnie, poddostatkiem...

Trzech nas (jeden nawet z tej samej wsi) — co mogli, zrobili — i w drogę. Ba, rzucili się chłopi, wpadli na trop — jak tam i kędy, tego wam także nie potrzeba wiedzieć — więc dalej za mną. Trzy mile od wsi przydybali mię...

Jesień już się zaczęła. Zwożono jeszcze owies i zabierano się do ziemniaków. Narodu w polu niewiele. Pogoda, słoneczko jeszcze przypieka. Mnie zawiązali w tył ręce i skrępowanego, trzech chłopów pognało gościńcem.

Dopędzamy solarzy z ciężarem.

— Daj Boże!

— Daj Boże!

— A którędy z kompanem? — pokazują na mnie.

— Człek niczego — mówią moi gospodarze — „komorowy.“

— A, tak! No, niezawadziłoby mu dać na pamiątkę? — rzecze jeden solarz.

— O, to swoim porządkiem — bez tego się nie obejdzie.

— A może pozwolicie i nam od siebie coś trochę przyczynić?

— Jak wasza łaska — odpowiadają, uśmiechając się.

Ja zaś ścieżką na skraju drogi idę i milczę; bo co tu gadać, kiedy wiem, że nie poradzę.

Solarz, z ostatniej fury, poskoczył do mnie:

— A no paniczu, przystań!

Staję. Podkasał mi pantalony powyżej kolan i podwiązał sznurkami.

— A teraz ruszaj! — rzekł, puszczając mię przodem mimo fury. Ledwie zrobiłem parę kroków, aż tu nagle jakby mi się gad wpił w nogę. Solarz z całej siły ściągnął mię biczem. Bicz przeplatany drutem, gdzie dotknie ciała, tam gryzie... A węzły niby pijawki wpiły się w mięso... Pospieszam dalej, mijając drugą furę, drugi solarz poprawił niezgorzej. Mijam trzecią — to samo. Sześć ich było, tak, że zanim wyminąłem wszystkie wozy, nogi jak nożem posiekał, a krew zalewała ślady. Ech, zapamiętałem ja sobie tych solarzy! Dowiedziałem się później, w którem to gnieździe lęgną się takie ptaszki i przypomniałem się im jak należy!... Tymczasem gospodarz

[1]) *Andrus*, w złodziejskiem narzeczu — chłopiec, złodziej.

[2]) *Chodaki wysmykują* — pugilaresy wyciągają.

[3]) *Pająk* — policyant.

[4]) *Ul* — areszt.

wie (będącej specyalistką od upadających własności większych) już nie z wołaniem na alarm, ani z dowcipną radą—ale z Hamletowskiem pytaniem: *co robić?* Jedne pisma przedrukowały tę pracę, przyznającej jej przesadne pochwały, drugie zbyły ją drwinami, na co również nie zasługuje. Jakkolwiek bowiem ani z argumentacyą, ani z wywodami p. A. G. zgodzić się niepodobna, niektóre jego myśli powinny zwrócić na siebie uwagę, chociaż wypływające z nich wnioski przeczą założeniu autora,

Do niedawna jeszcze chełpiliśmy się nazwą „spichrza Europy" i byliśmy najmocniej przekonani, że „bez naszej pszenicy anglik z głodu zdechnie." Doświadczenie lat ostatnich przekonało nas wszakże, że znaleźliśmy na tem polu współzawodnika, z którym coraz trudniej walczyć, mianowicie Amerykę. Przy kapitalistycznym charakterze, jaki coraz bardziej przybiera rolnictwo, musimy na międzynarodowych rynkach ustąpić pierwszeństwa krajowi, w którym produkcya rolna, posiłkowana pracą maszyn, odbywa się na wielką skalę. Widzimy tu prawo, zauważone już niejednokrotnie w przemyśle, że wielkie przedsiębiorstwa zabijają mniejsze. Oprócz Ameryki w ostatnich latach do współzawodnictwa występują Indye. Wywóz pszenicy z tego kraju, wynoszący w r. 1873 350.000 centnarów, wzrósł w 1883 do 40,000,000. Pszenicy amerykańskiej i indyjskiej nie może się oprzeć nawet rosyjska, wyprodukowana z znacznie mniejszym nakładem pracy i kapitału, aniżeli nasza. Wielkie zapasy zboża w Cesarstwie dotychczas leżą niesprzedane, dostały się więc na nasze rynki i zastąpiły w części wytwór miejscowy. Grozi więc nam i z tej strony niebezpieczna konkurencya. Wprawdzie naiwny komentator p. A. G. z *Gazety rolniczej* fakt ów przypisuje tej okoliczności, że szlachta trzyma zboże do wiosny, czekając wyższych cen i zmusza w ten sposób kupców do szukania nowych dróg, i że wszystko zmieni się na lepsze; ale takie dziecinne rozumowania nie mogą być brane w rachubę.

Ciężki ten kłopot, który z każdym rokiem zwiększać się będzie, zastaje nas nieprzygotowanymi. Chociaż bowiem przewidywano ten stan rzeczy od lat kilku i proponowano różne zaradcze środki, nie uczyniono nic prawie. Projekt powszechnego zastąpienia gospodarstw zbiorowych hodowlą inwentarza w wielkim rozmiarze nie wytrzymuje krytyki, bo i tutaj grozi nam walka z bydłem stepowem, wypasającem się na naturalnych pastwiskach, i powstrzymuje rozwój hodowli ciągłe zamykanie granicy przez sąsiednie państwa. Produkcya roślin przemysłowych, jak np. chmielu itp. może pojedynczym gospodarzom dać znaczny dochód, ale niepodobna rozszerzyć jej na kraj cały, bo na taką wielką ilość nie znajdziemy zbytu.

Na te dolegliwości rolnictwa p. A. G. podaje dobrą radę—jest nią zwiększenie wewnętrznego spotrzebowania, a środkiem do tego jest podniesienie miast oraz rozwój rękodzieł i przemysłu, nietyle wielko-fabrycznego, który ześrodkowywa się w kilku punktach i nie zwiększa bynajmniej dobrobytu klas pracujących, bo stwarza wielkie fortuny kosztem nędzy robotników, ale średniego i drobnego. Tutaj jednak autor popada w sprzeczność z samym z sobą, bo powodzenie tego przemysłu opiera na wywozie do Cesarstwa, kiedy przy takim ustroju nie będzie on mógł korzystnie współzawodniczyć ani z miejscowemi fabrykami, ani z wielkim przemysłem krajowym. Dalej zobaczymy, dokąd logicznie żądanie to powinno autora zaprowadzić.

Dla podniesienia miast p. A. G. zaleca trzy środki: pierwszym z nich jest zakładanie szkół rzemieślniczych; drugim zabudowanie miast, w których częste pożary odbierają przemysłowcom i rzemieślnikom ochotę do osiedlania się (?!). Projekt towarzystwa budowlanego, które zamieniłoby nasze drewniane miasteczka na murowane, wkłada autor na Towarzystwo kred. ziemskie. Nieszczęśliwą tę instytucyę od pewnego czasu wszyscy chcą zmusić gwałtem do ratowania schorzałego organizmu szlacheckiego. Niedość, że co lat parę Towarzystwo daje ziemianom nowe dawki kredytu, niecierpliwi pacyenci każą mu i bańki stawiać i krew puszczać a nawet inne jeszcze operacye wykonywać.

Trzecią drogą ma być zorganizowanie pomocy kredytowej dla powstającego przemysłu. Tutaj znowu ofiarą obowiązku jest Towarzystwo zachęty przemysłu i handlu, które od niedawna stało się drugą *bete noire* dziennikarskich projektowiczów. Juściż wszystkie te rady, jako środki pomocnicze mają swą wartość, ale do reformy stosunków ekonomicznych nie wystarczają. Zmian takich niepodobna sprowadzić jednym zamachem pióra, ani za pomocą najlepiej obmyślanych i urządzonych instytucyj; wytwarza je naturalny bieg wypadków, lecz tam, dokąd on prowadzi, wątpię, czy p. A. G. i jego zwolennicy mieliby ochotę podążyć.

Wyżej już zaznaczyliśmy, że przemysł drobny nie może walczyć na obcych rynkach z produkcyą kapitalistyczną; jest to pewnik znany nawet w elementarzach nauki ekonomicznej. O wywozie zaś do Cesarstwa nie ma mowy wtedy, gdy niemal za zuchwalstwo poczytać należy myśl możności walki jego z wytwórczością wielkich fabryk krajowych. Dla rozwoju swego potrzebuje on spożywców miejscowych dosyć zamożnych, żeby kupowali jego wyroby. Licznych odbiorców takich dostarczyć tylko może dobrze uposażony stan włościański. Wielkich gospodarstw przemysł drobny nie zbawi, ani one go nie podźwigną; stopniowy więc ich upadek jest rzeczą nieuniknioną, a przynajmniej takie lekarstwo, jakie przypisuje p. A. G., złemu nie zaradzi. Parcelacya wielkich majątków, wsparta kredytem rządowym, ustawicznie wytwarzać będzie nowych drobnych właścicieli, zaspakajających swe potrzeby wyrobami miejscowego przemysłu i rękodzielnictwa i z każdym rokiem kwestya wywozu zagranicę zboża coraz więcej traci na swem znaczeniu. Z jednej strony przyczyni się do tego pewne zmniejszenie ogólnej produkcyi rolnej, jakie przy zamianie gospodarstw wielkich na małe nastąpi, z drugiej podniesienie dobrobytu ludności wiejskiej i miejskiej zwiększy konsumcyę. Zresztą naturalny wzrost ludności wymagać będzie dla zaspokojenia potrzeb nowego wzrostu produkcyi rolnej. Inaczej, doprawdy, trudno zrozumieć myśl p. A. G. wytworzenia miejscowych ognisk odbytu. Przecież przeniesienie części ludności wiejskiej do miast nie podwoi liczby ust. Wyższy poziom dobrobytu bezwątpienia zwiększy konsumcyę, ale nie na tyle, żeby pochłonęła to wszystko, co dzisiaj przeznacza się na wywóz; jeżeli więc ten ostatni staje się niemożliwym, nastąpić musi częściowy upadek produkcyi rolnej, który nie będzie przecie upadkiem dobrobytu krajowego, bo zmniejszenie ogólnego bogactwa sowicie wynagrodzi sprawiedliwszy jego podział.

Dla nas sprawa upadających posiadłości większych dawno już w zasadzie jest rozstrzygniętą i oznaczone wytyczne punkty dalszego jej przebiegu. To, co jest natural-

---

moi w śmiech i chwalą solarzy za koncept.

— O już to my wiemy, jak się do takich paniczów zabierać! — przechwala się jeden. Bo to widzicie, nic mu się złego nie stanie, a pamiątka będzie! Cha, cha, cha!...

II.

Jeszcze wieczór był daleko, kiedyśmy przyszli do wsi. Prowadzą mię do wójta Przychodzimy: niema go w domu, wyjechał w pole. Tylko wójtowa krząta się w sieni. Spojrzała na mnie — i nic.

— A nie wiecie kumo—pytają moi przewodnicy — gdzieby go tu umieścić?

— A nie wiem. Wsadźcie go, gdzie się wam żywnie podoba, byle tylko nie tutaj. Na co mi kłopotu.

Ja tymczasem stoję i aż oczami błagam, żeby się ulitowała... Bo już wiedziałem, że jeśli nie u wójta, to chyba już przyjdzie nocować tam, gdzie byłem w gościnie. No, a w takim razie nie spodziewaj się człeku dobrego przyjęcia!

Za chwilę gruchnęła wieść po siole: przywiedli złodzieja! Wnet też co żyło po chatach, wybiega. Postawali na oborze, rozglądają się, jedni klną, drudzy grożą, inni tak sobie stoją i gapią się. Aż tu i mój gospodarz, ten u którego *buchnęliśmy* [1]), przeciska się, podchodzi bliżej. Wysoki, krzepki, czerwony na twarzy jak kat. Zbliżył się, spojrzał na mnie...

— A to ty? No, to się poznamy bliżej. Milczę.

— Kumie — mówi do jednego z tych, co mię przywiedli — prowadźcie go do mnie, tam będzie najbezpieczniej. Już ja go przypilnuję!

— Pewnie, tam najbezpieczniej — rzekła stojąca w drzwiach wójtowa. Jak tylko mój wróci, powiem mu zaraz, a on już tam przyjdzie.

Powiedli mię. Gospodarz mój, aż zgrzyta z wściekłości. Po drodze zboczywszy, wyłamał kół z płota.

— Tędy z nim — krzyknął, skręciwszy do swej obory i puszczając mię przodem. Kiedym przechodził mimo niego, zamachnął się na mnie, ale go wstrzymali.

— Nie, kumie — rzekł jeden, tak nie można, ubijecie i jeszcze gotowiście sami pójść do kryminału.

— Co, ja! — krzyknął, za tego opryszka? A toć za śmierć takiego niema grzechu!

— Nie, kumie, dajcie pokój z takiem gadaniem. Postraszyć można, żeby go na drugi raz odeszła ochota, ale zabijać — to nie. My za niego odpowiadamy.

— Już ja go postraszę tak, że do sądnego dnia będzie nim trząść od strachu! — krzyknął gospodarz i, podszedłszy ku mnie, uderzył pięścią między oczy. Zwaliłem się na ziemię jak snop, krew zalała oczy, pamięć mię odeszła...

III.

Ocknąłem się. Słońce zachodzi. Siedzę na przyzbie: koszula na mnie cała krwią zbroczona, twarz opuchła, ale bólu nie czuję zgoła; całe ciało jakby zacierpło. W chacie gwar. Kilku ludzi siedzi pod szopą, kilku na przełazie. Gwarzą między sobą i na mnie spozierają...

— Naczelnik! Naczelnik! — dało się słyszeć.

Jeden z gospodarzy poskoczył otworzyć wrota.

Przyszedł naczelnik, człowieczek niziutki, tłuściutki, dobroczynny z pozoru. Chód miał drobny. W dłoniach czereśniówka, gruba jak cepisko. Nuż do mnie...

— A co, kochanku, złapali? Widzisz! Teraz gromadzie bieda, trzeba cię pilnować, póki nie będzie okazyi do sądu. A to pora robocza, synku, niema czasu.

— Panie naczelniku — zebrałem się na odwagę, pozwólcie, żebym ten czas u was przebył.

— O, o, o, — krzyknął wójt, nie można ptaku, nie można u mnie! Tutaj kum Maciej krzywdy ci nie zrobi, nie bój się, przypilnuje dobrze. Pobędziesz tu dzień — dru-

[1]) *Buchać* — kraść.

ną konsekwencyą wypadków, ani powstrzymanem, ani zażegnanem być nie może. Raz przyjąwszy nieubłaganą konieczność tego faktu, nie należy stawiać mu przeszkód, ale raczej przyczyniać się do prędszego i łatwiejszego rozwiązania.

Rozumna polityka ekonomiczna może i powinna w tym wypadku przyjąć na siebie rolę akuszerki. Jeżeli jednak, że tak powiem, „unarodowienie ziemi“ uważamy za fakt, który nieodwołalnie spełnić się musi, inaczej rzecz się ma z rozwojem drobnego przemysłu. Czy wobec rozrostu kapitalizmu u nas może on liczyć na wygraną w walce — wątpić należy. Jeżeli jednak wątpliwość ta choć trochę jest uzasadnioną, polityka ekonomiczna rządu i współudział sił społecznych drobnemu przemysłowi powinny iść z pomocą. Taki lub ów rezultat owego współzawodnictwa przekształca odpowiednio nasze wnioski, ale dla p. A. G. i upadających posiadłości większych w obu wypadkach — niema wyjścia.

J. L. P.

KAPITAŁ I PRACA.

(Rodbertus-Jagetzow).

II.

Wychodząc ze stanowiska tak szeroko pojętej wspólności pracy i zarobków, Rodbertus zastrzega się najwyraźniej przed posądzeniem o hołdowanie komunizmowi w pospolitem tego słowa znaczeniu, komunizmowi, będącemu postrachem wszystkich społeczeństw nowoczesnych. Pragnie on takiego stanu ekonomicznego, śród którego cała ziemia i kapitał narodowy stanowiłyby własność ogólną i zostawały pod zawiadywaniem państwa. Stan taki jednak, zdaniem jego, bynajmniej nie sprzeciwia się swobodnemu rozwojowi wszelkich zdolności ludzkich, lepszych popędów i uczuć. Polega bowiem nie na ucisku i służebnictwie, ale na nieprzymuszonem wypełnianiu tych obowiązków, od spełnienia których wogóle zależy byt każdego państwa samodzielnego. Silny nie potrzebuje tu pracować za słabego, pilny za leniwca, zręczny za niedołęgę— i nawet nie potrzeba większego wyrzeczenia się własnego *ja*, większego poddania woli ogółu, jakie przypuszczamy w każdym stanie demokratycznego równouprawnienia. Co więcej—podług Rodbertusa — w owym komunizmie względem ziemi i kapitału, czyli w wymarzonym przez niego ideale przyszłej organizacyi społecznej, nietylko własność jest bezpieczniejsza, wolność większa, równouprawnienie ogólniejsze, aniżeli w stanie obecnym lub jakimkolwiek najwolniejszym, opartym na prywatnej własności ziemi i kapitału, lecz własność, wolność, równouprawnienie wogóle a wtedy dopiero w całej swej pełni i czystości urzeczywistnione być mogą. „Czemże jest — powiada między innemi — własność, podług sprawiedliwości, zasadniczo rzecz biorąc? Jest to nieograniczone prawo do korzystania z całkowitego dochodu swej pracy! Tymczasem dzisiejsze stosunki własności, zostające pod panowaniem idei posiadania prywatnego, polegają na ciągłem a rażącem gwałceniu tej zasady, podobnie, jak niewolnictwo, które co do stopnia tylko, nie zaś co do punktu wyjścia różni się od tej idei. Niewolnictwo wprawdzie podległą sobie czyni osobę, idea własności — bezpośredni osobisty objaw tylko — i jedno i druga przecież siłą pozbawiają osobę całkowitego owocu jej pracy. Niewolnictwo jawnie proklamuje władztwo siły, własność ziemi i kapitału pod sofizmatami ukryć je usiłuje. Skutek ich wszakże jeden jest i ten sam—oboje rodzą niesprawiedliwość, która, stosownie do źródła swojego, jest albo brutalnością, albo obłudą.“

Uważając niewesołą tę alternatywę za stan przejściowy jedynie, Rodbertus wyraża przekonanie, że, jeśli kiedykolwiek prawo i wolność niepodzielnie zapanować mają na ziemi, społeczeństwo przyjąć musi doradzaną przez niego organizacyę komunistyczną. Że to kiedyś nastąpi—w to wierzy niezachwianie, gdyż, jak mówi, historya, teraźniejszość i nauka ugruntowały w nim tę wiarę.

Z pośród wszystkich wielkich wstrząśnień socyalnych, w każdym z owych bólów społecznych, z których nowe rodziły się prądy, zdumionym współczesnym nagle ukazywała się idea komunistyczna. Tak było w początkach chrześciaństwa, owej bez zaprzeczenia najpierwszej i najdalej idącej próby oswobodzenia ludzkości. Toż samo zjawisko przedstawiają: uwolnienie miast dokonane w całej niemal Europie w wieku XIV, reformacya, wielka rewolucya francuska, rewolucya lipcowa i lutowa. Wszystkie te wypadki są zarazem w głębi swojej ruchami komunistycznymi, we wszystkich ten kierunek, w coraz ściślejszej, jaśniejszej, bardziej naukowej formie, jako ostateczna i logiczna występuje konsekwencya.

Co do teraźniejszości, trudno nie spostrzedz, że we wszystkich stosunkach społecznych dziś więcej, niż kiedykolwiekindziej faktycznie panuje komunizm—w najważniejszych i najpożyteczniejszych instytucyach przemysłowo-handlowych, których bezustannem dążeniem jest rozlewać korzyści swoje na jak największą liczbę ludzi; w prawie, które dla nowych pojęć wciąż nowe wynajduje formy, w obyczajach wreszcie, w których przeważa pociąg do wspólności użycia. Nigdzie atoli wydatniej nie zarysowywa się kres indywidualizmu, a tem samem przejście do komunizmu, jak w dziedzinie nauki, w ekonomice współczesnej. W bezwiednej naiwności, lecz z zupełną świadomością o prawdzie twierdzenia swego, uznawszy śmierć głodową i ruinę majątkową za konieczne regulatory życia gospodarczego oraz klasy pracujące na wieczne skazawszy niewolnictwo — nauka ta z przerażeniem staje przed zwierciadłem, jakie podsuwa jej socyalizm — i, zadając kłam wszystkim faktom, nie przytaczając żadnych nowych zasad, nagle przerzuca się do pewnika o wiecznej harmonii ekonomicznej, o coraz do dalszych sięgającym kręgów udziale we wzrastających skarbach produkcyi narodowej. Jest to jakby ostatnie konwulsyjne drganie przed skonem dawnego systemu!

Pomimo podobnych radykalnych poglądów, Rodbertus przecież bynajmniej nie jest socyalistą-marzycielem w stylu np. Fouriera. Jest on raczej socyologiem-myślicielem w najczystszem i najściślejszem tego słowa znaczeniu, jak o tem cały dalszy przebieg jego pracy wymownie przekonywa.

Kończąc wywody swoje o przyszłości ekonomicznej społeczeństw, wyraźnie przyznaje, że w wywodach tych nakreślił obraz gospodarstwa narodowego *bez* własności ziemskiej i kapitalistycznej, czyli o własności takiej zawiadywanej przez państwo — dla celów teoretycznych więcej, niż praktycznych, że obraz taki był mu potrzebnym do lepszego przedstawienia i rozjaśnienia

---

gi, aż do niedzieli, a w niedzielę już cię kum Maciej z przysięźnym odstawią do miasta.

Było to we czwartek. Zatem, dwa dni— pomyślałem sobie. Ha, cóż robić, trzeba cierpieć!

— No, a teraz synku wstań, kiedy do ciebie mówię.

Wstałem.

— Chodźno tu.

Wyszedłem na środek obory.

— Połóż się, niebożę.

Spojrzałem na niego.

No cóż, nie słyszysz? Kładź się. Ja naczelnik gromady, ręczę za ciebie, ale mam prawo dać ci pięć kijów — nie więcej!

Nie słyszałem nigdy o takiem prawie, ale cóż począć...

— Kumie przysiężny, nuże dalej! — zawołał wójt i odliczywszy pięć, zabierał się do odejścia.

— A wy, kumie Macieju, pilnujcie go i baczcie, żeby mu się nic złego nie stało. Gromada musi go przed sąd odstawić żywego. Pamiętajcie, żeby był żywym!—mówił, uśmiechając się. Ja tu zajrzę jutro rano. Bywajcie zdrowi.

IV.

Zanim przysiężny okuł mię w łańcuchy, ściemniło się na dobre. Maciej stał z boku jak kot nad duszą i czekał tylko, rychło odejdzie przysiężny. Doczekał się.

— No, cóż, paniczu, teraz jesteśmy sami, nie prawda? — cedził powoli przez zęby, trzymając w dłoni łańcuch, którym mię skuto. W oka mgnieniu szarpnął nim tak silnie, że się na wznak zwaliłem i trzepnąłem głową o ziemię.

— O wa, ty jak widzę pijany! — zaniósł się od śmiechu; a ja cię chciałem prosić na wieczerzę. No, wstawaj, pójdziemy!

Wstałem, gospodarz zawlókł mię do chaty. W piecu palił się ogień, żona krzątała się po izbie, warząc wieczerzę. W kącie siedziała stara babula, matka gospodarza. Obie baby były blade; ujrzawszy mię, zadrżały. Rzadko która z nich ośmieliła się spojrzeć na mnie, a jeśli spojrzała, to tak smutno, tak smutno...

Maciej posadził mię na ławce, a sam siadł u końca stołu, sapiąc, jak miech kowalski. Przeczuwałem, że coś przeciwko mnie knuje. Naraz zerwał się i stuknąwszy w stół pięścią krzyknął:

— Nie, ja go nie puszczę żywego! Niechaj będzie, co chce, ale nie wypuszczę opryszka żywym z chaty.

Kobiety, jakby na dany znak, zapłakały.

— Macieju! synku, Bóg z tobą! Toć się szkoda wróciła. I ty byś chciał taki grzech brać na swoją duszę! Bój się Boga!..

— A on się bał Boga, kiedy podkopał się do komory?..

— Ha, niech go tam!.. Niechaj się sam z Bogiem rachuje!

— Nie, ja mu pomogę. Wprzód mu wszystkie kości policzę! Chodźno tutaj!

I znowu porwał za łańcuch, podniósł mię z ławki i cisnął o ziemię. Wówczas, stanąwszy butami na piersi, skręcił łańcuch tak silnie, że wygiąłem się w kabłąk, aż w krzyżu zatrzeszczało. Pociemniało mi w oczach. Widziałem, jak odwinął się do mej twarzy. Potem uczułem ból w piersiach, w plecach, w boku, a potem... nic nie pamiętam...

V.

Znowu się ocuciłem. W piecu żar dogasa, zresztą ciemno w chacie i cicho. Leżę pod ławą skulony we dwoje, jak ślimak. Ruszam się, ból straszny. Każda kosteczka, każde miejsce...

W gardle mi wyschło, pali. Zajęczałem.

Czarny cień przemknął po chacie, szeleszcząc niewyraźnie. Spojrzę — żółto-pomarszczona twarz schyla się nademną, a drżąca, zimna ręka przesuwa mi się po twarzy.

— Ty jeszcze żyjesz, synku, co?

— Żyję!.. wody!.. wystękałem.

Podała mi wody.

— Pij, a żywo, bo gotów nadejść, a wtedy nieszczęsna dla mnie godzina. Potwór jakiś — szeptała baba. Biednyś ty niebo-raku, biedny! Żal mi cię, lecz cóż ja tu poradzę!..

dotychczasowych błędnych zapatrywań na kapitał. Jak należy pojmować uwagi jego o komunizmie, wyjaśnia, utrzymując, że w zupełności podziela zdanie La Mennais'go, który wyrzekł (1847): „W doktrynach socyalistycznych widzę jedynie objaw głęboko poczutej potrzeby społeczeństwa we względzie sprawiedliwszego oznaczenia płac robotniczych, z celem polepszenia w ten sposób opłakanej dziś doli klas pracujących.“ Rozwijając bliżej tak postawiony pewnik, Rodbertus oświadcza, że stanowczy przewrót w stosunkach gospodarstwa społecznego nie prędko jeszcze stanie się rzeczywistością. A nie dopuszczą go na teraz sprzeczne z nim pojęcia ekonomiczne i prawne, mnóstwo interesów związanych z obecną formą własności ziemi i kapitału, przedewszystkiem zaś stan umysłowy i moralny z jednej strony klas panujących i posiadających, a z drugiej—służących i pracujących. „Od czasu—mówi w jednem miejscu — gdy już umysły wyższe uznały całą niesprawiedliwość niewolnictwa, potrzeba było jeszcze całego tysiąclecia, żeby w państwach cywilizowanych Europy tylko, zatrzeć ostatnie ślady nieszczęsnej tej instytucyi w poddaństwie dziedzicznem złożone. A jakkolwiek dziś historya kroczy prędzej, zapominać wszelako nie należy, że własność ziemi i kapitału daleko silniej, niż niewolnictwo, zrośnięta jest ze społeczeństwem. Dlatego sądzę, iż jak historya od wieków tylko drogą kompromisów czyniła postępy, podobnież jedynie ugoda pomiędzy pracą a własnością powinna być najbliższem zadaniem nauki naszej. Łatwemby mi było skreślone przezemnie zarysy gospodarstwa społecznego bez własności ziemi i kapitału—przy posiadaniu jedynie wartości produkcyjnej pracy własnej — do najdrobniejszych rozwinąć szczegółów. Zajęcie tego rodzaju atoli dla dolegliwości chwili bieżącej, byłoby równie bezpożytecznem, jak nietrudnem. Trudniejszem i pożyteczniejszem zdaje mi się być przygotowanie podstaw naukowych dla kompromisu, o jakim wspominałem. Ograniczam się na wskazaniu, jak kwestya płacy może być uregulowaną w ten sposób, iżby odtąd i klasy pracujące otrzymywały należny sobie udział w zyskach, oraz że pomimo to regulacya owa może nastąpić bez nadwerężenia wolności osobistej, swobody przesiedlania się, wolnego wyboru rzemiosła itd. Niewątpliwie, że od każdej kwestyi płacy nieodłącznem jest zasadnicze bezprawie własności ziemi i kapitału. Ale bezprawie to w praktycznych skutkach swoich może być zmniejszonem do pewnego punktu, który dla klas pracujących może być więcej, niż tylko zyskownym. Stosunkom społecznym taki może być nadany kierunek, iżby właściciele ziemi i kapitału, zamiast, jak dziś, być wyłącznymi panami dochodu, bogami społeczeństwa, którym praca tylko ofiary składać ma obowiązek — zyskali powagę ludzi użytecznych, którzy za zwierzchni nadzór nad przedsiębiorstwami produkcyjnemi w rencie swojej otrzymują wynagrodzenie. Za taką wszakże zasługę społeczeństwo winno zapłatę. Niechaj tedy własność ziemi i kapitału nadal będzie *urzędem* raczej, a renta dla tej własności *pensyą* tylko.“

Po takim ogólnym na stosunki ekonomiczne poglądzie, Rodbertus przechodzi do właściwego przedmiotu pracy swojej, a mianowicie kapitału, który rozpatruje pod czterema względami, to jest: ze względu na jego części składowe, ze względu na powstawanie i pomnażanie się, ze względu na jego reprodukcyę, i nakoniec ze względu na stosunek jego do dochodu.

Streszczenie tych rozdziałów, niemniej kilka spostrzeżeń krytycznych znajdzie czytelnik w trzecim i ostatnim naszym artykule. (D. n.).

A. J. Cohn.

NAJBLIŻSZA PRZYSZŁOŚĆ.

Literatura polska w tej chwili geniusza nie posiada. Starzy olbrzymi pomarli—nowi się jeszcze nie narodzili. A może ich już natura nieraz stworzyła, ale warunki nie pozwoliły im się rozwinąć. Z tryumfów ludzi wielkich, którzy przełamali zapory, wybrnęli z trzęsawisk życia i z jego ciężarami weszli na wyżyny, wybłysnął szeroko czczony pewnik, że geniuszów los nie łamie a nawet ich hartuje. Nie warto się rozprawiać z tym kanonizowanym przesądem, który na swoje usprawiedliwienie może mieć tylko wiarę w opatrzność, pozwalającą duszom wybranym, jak komarom, wylęgać się i pływać po wierzchu fali w czółenkach, których żadna burza nie zatopi. Niestety, jednego Mojżesza puszczonego na wodę w sitowiowym koszyku ratuje królewna egipska, a może stu ich tonie. Walka o byt — nędza — kropla roztworu bromowego nie w porę dana—kułak w głowę — wszystko to pojedynczo lub razem wystarczyć może do tego, ażeby Kopernik lub Mickiewicz w kolebce został konduktorem drogowym lub organistą w późniejszem życiu. Dawniej stada umysłów dzielniejszych odlatywały daleko i wyrabiały sobie skrzydła w obszernych przestworach obcego świata; teraz zmieniony instynkt wszystkie zatrzymuje na rodzinnem ciasnem podwórzu. Wielka to korzyść dla gospodarstwa krajowego, ale kto wie, czy orzeł z obciętemi skrzydłami na śmieciach jak kogut nie grzebie, kur do ziaren nie zwołuje i na odmianę nie pieje — zamiast szybować pod obłokami?

To wszakże tylko hypoteza, a rzeczywistość przedstawia nam ten jedynie niewątpliwy fakt, że geniuszów nie mamy.

Ale mamy talenty dość wysokiej miary, które kurczą się w nieprzyjaznych warunkach lub marnieją w niewłaściwej pracy. Niemal wszyscy młodzi nasi pisarze, zajmujący miejsca nietylko w bibliografii, ale i w literaturze, są redaktorami lub współpracownikami pism czasowych. Smutny, czasem bolesny widok! Tu poeta przykrawa niezdarnie utkane nowiny dnia, tam dramaturg układa listy wybranych do Towarzystwa kred. ziems., tam powieściopisarz z doniesień policyjnych kreśli obrazki pożarów i kradzieży, zmienia ceduły giełdowe lub robi korekty. Gwałtowny rozrost prasy, zwłaszcza codziennej, pochłania w marnych użytkach siły, które do skarbca myśli narodowej złożyłyby niejeden trwałego blasku klejnot. Ci, co by mogli być kapłanami, przewodnikami swego społeczeństwa, obsługują najwyklejszą ciekawość kilku tysięcy czytelników. Naród mały nie jest w stanie wyżywić swych mistrzów, jeżeli oni nie są zarazem jego pachołkami. Uczcie mnie—powiada on do nich—śpiewajcie mi, wskazujcie nowe drogi; ale musicie także ścierać kurze w moim domu, czyścić buty i zbierać plotki; wtedy odzieję was i nakarmię. Jest to zaś nietylko oszczędność, ale i potrzeba. W dziennikarstwie naszem brak odpowiednich ludzi. Jego rzesza nie powstaje drogą naturalnego doboru, ale całkiem sztucznego przelewu żywiołów z łożysk zatamowanych w otwarte. Co robi

---

— Bóg wam zapłać! — wyszeptałem.

Skrzypnęły drzwi i stara zniknęła jak cień, a kiedy wszedł gospodarz, pokaszliwała na piecu.

— A co, nie odzywał się złodziej? — zapytał.

— Nie, synu.

— Tfu do dyabła, jeszcze jak zginie u licha, gotowa być bieda.

We mnie aż duch wstąpił. Ot, myślę sobie, może się zlituje, zwolni, popuści łańcucha. Ale gdzie tam. Pomruczał tylko i znowu spać się położył.

— Wszystko jedno — słyszę jeszcze: jak żywy, to i do jutra żyć będzie, a nie, to niech go dyabli porwą!...

Przez całą noc oka nie zmrużyłem. Com się wtedy wycierpiał, to mogłoby mi śmiało starczyć na dziesięć lat życia. Już myślałem, że może krew zaleje i prosiłem Boga o skonanie. Ale gdzie tam! Innemu jeszcze, szczęśliwszemu, to z pewnością, ale mnie!..

W każdym jednak razie noc owa była może najcięższą i najdłuższą w mojem życiu. I gdyby mi owa babusia nie podała wody, byłbym z pewnością bęknął. Ale już mi widać było sądzonem, żebym wytrzymał.

VI.

Rozwidniło się. W chacie powstawali. Mój gospodarz przedewszystkiem do mnie. Nadsłuchuje — dyszę. Aż odsapnął.

— Więc ty żyjesz jeszcze? — zawołał. No proś Boga, który cię na dłuższy czas oddał w moje ręce! Ale tego, co cię jeszcze czeka, na pewno ani odprosisz, ani wybłagasz. Żeby tylko do miasta żywego odstawić, a tam już, niechaj i kark złamie!..

Głupiec! On po swojemu rachował, a ja po swojemu; no i przecie na mojem stanęło.

Wyciągnął mię z pod ławy, rozkręcił łańcuch... A, chwała ci panie! W krzyżu lżej się zrobiło, świat mi się innym wydał. Ale o powstaniu ani myśleć. A jednak gospodarz, kopiąc nogami, wyrzucił mię na dwór, do obory, a żonie kazał posprzątać w chacie.

Siedzę znowu na przyzbie. Ranek zimny, ciało mi stężało, tak że nie czuję bólu, tylko w głowie dziwnie szumi, a w piersiach kole, kiedy oddycham. Rychło zapalili w chacie, dym smugami rozciągnął się nad strzechą, prosto w oczy. Zapłakałem, zakrztusiłem się, ale milczę. Gospodarz tymczasem poszedł do chudoby, wołom natrząsł strawy, pognał do wody, ba, słyszę, wybiera się w pole z pługiem orać pod żyto. Ach, jakżem się ucieszył. „Nie będzie, myślę sobie, mego kata przez dzień cały w chacie!“

Aż tu słyszę głosy. Spojrzę, wójt z przysiężnym u przełazu. Podchodzi, ogląda mię i uśmiecha się.

— A co, rybeńko, dobrze cię tu gościli? Ja ledwie dyszę, we krwi cały.

— Cóż, nie odpowiadasz serdeńko? Gadaj, nie bój się, ja ci nic za to nie powiem.

— Panie... wójcie — wyjęczałem, drugiej... takiej nocy nie przeżyję!

— Nie przeżyjesz, duszko — uśmiechał się wójt. Ech, nie bój się, przeżyjesz! Tacy jak ty, umieją wszystko przeżyć. No, a teraz nieboże, ty wiesz, co ci się odemnie należy?

Wytrzeszczyłem oczy.

— Oj, krótką, jak widzę, masz pamięć gołąbku! Nuże wstań i rozłóż się. Mam ja prawo odliczyć ci na śniadanie pięć kijów, nie więcej. Kumie przysiężny, dalejże, weźcie go!

— A wy, kumie— zwrócił się wójt do mego gospodarza, który właśnie nadchodził — będziecie musieli w sobotę po południu wybrać się w drogę do miasta. Pojedziecie wy, kum przysiężny, no i aresztant.

Był to piątek. Zatem jutro. Mój gospodarz łypnął na mnie z pod oka, ale tak dziko i zajadle, jakby mu się śmiertelny wróg, którego od razu udusić nie może, zrąk wyrywał. Osłupiałem na myśl, że potrzeba będzie jeszcze jedną noc spędzić u tego człowieka bez serca. I za cóż tyle męki?.. Ot, prawdę powiedziawszy, możemy byli *buchnęli* na sto reńskich wszystkiego i większą część szkody odebrał. A chłop bogaty, w jego komorze, byle sprytne ręce, nic tak się można było obłowić!..

młody człowiek, który nie zdołał wcisnąć się do żadnego urzędu lub przedsiębiorstwa prywatnego, który sam zwichnął sobie karyerę lub mu ją okoliczności zwichnęły? Idzie do kolei żelaznej lub do prasy — albo też do obu razem. Zamkniętym wrotom w innych kierunkach działalności dziennikarstwo nasze zawdzięcza przynajmniej połowę sił swoich. Skutek? Bardzo prosty: całe niedoświadczenie, ułomności, braki wprawy i uzdolnień przypadkowego werbunku muszą być do pewnego stopnia równoważone pracą sił lepszych. „Sylf“ redakcyjny opisze wyścigi lub bójkę uliczną, a dramaturg lub poeta wygładzi ten obrazek epopei i poprawi w nim—ortografię.

Trudno byłoby policzyć, ile pegazów chodzi u nas w dziennikarskim deptaku i obraca koło młyna, który miele najzwyczajniejszą razową mąkę. Gazeta, która, ściśle biorąc—jak kursa giełdy, telegramy, rozkłady jazdy, afisze, doniesienia polityczne, jak cała kasza nadziewająca jednodniowe kiszki prasy—nie powinna należyć do literatury, zużywa u nas jej wyborowe pióra i nie pozwala im spotężnieć w utworach, od chwilowego interesu niezależnych. Najmocniejsi pisarze muszą kraść czas reporteryi, ażeby go poświęcić muzom. Czy dziwna, że zmęczeni nie odczuwają głębszych natchnień?

Skutkiem też braku umysłów genialnych literatury naszej nie przenika żaden potężny prąd, porywający z sobą wszystkie źródła, lecz składa się ona z wielu niezależnych od siebie strumieni lub wirów umysłowych, które płyną lub kołują na niewielkiej przestrzeni. I samo życie na naszym gruncie nie wydaje wstrząsających haseł, nie krzesze oślepiających idej, nie wytwarza wielkich ruchów. Gwiazdy polityczne, które świeciły poprzednim pokoleniom na niebie... obecem, zgasły, najpotężniejsze dziś w Europie wrzenie socyalistyczne nie zapaliło ani jednego ze znakomitszych pisarzów polskich, chociaż niektórzy stanowczo zwrócili się w kierunku demokratycznym — pozostają więc dla wszystkich mrówcze trudy i te walki z sobą lub okolicznościami, które toczyć się zaczęły śród pierwszych ludzi i toczyć się będą śród ostatnich. Bezwątpienia brzmią u nas słowa i godła święte, czci i ofiar godne, ale nie rzucił ich w rozwój nasz żaden geniusz, żadna doba, lecz przeszły drogą spadku po praojcach i dawnych czasach, są, że tak powiem, konieczną kategoryą myślenia wszystkich ludzi pewnego gatunku. Miłość dla kraju—swoboda—postęp—oświata—dobrobyt — to sakramenta każdej cywilizacyi.

Nie tam wszakże tylko są góry, gdzie się wznoszą Alpy i Himalaje. Chociaż nie posiadamy kolosalnych szczytów umysłowych, posiadamy wyniosłości znaczne, których nie należy lekceważyć, lecz trzeba je zmierzyć, ocenić ich rozmiary i wdzięki. W siódmym i ósmym dziesiątku obecnego wieku literatura polska urodziła grono tęgich dzieci, po których okazuje znowu pewną bezpłodność i które podtrzymywać ją muszą w najbliższej przyszłości. Pisarze z tego pokolenia, chociaż w zdolnościach swych i kierunkach między sobą są różni, a z poprzednikami nieraz wyraźnie spokrewnieni, stanowią pewną odrębną grupę. Na nią pada wzrok posuwających się ku grobom pracowników starszych, na nich spoczywa nadzieja społeczeństwa, gdy ono rozmyśla, kto jego duchową arkę strzedz będzie. W najgęstszych kurzach i bryzgach staré rysują się te postacie, z najkrzykliwszych gwarów i kłótni przerzyna się do uszu ogółu ich głos, każdy wie i wierzy, że oni na przedzie staną. Głównych bohaterów tej właśnie grupy przedstawimy w osobnych wizerunkach czytelnikom naszym. Przedstawimy ich, o ile można, bez uprzedzeń i zdawkowych osłonek, bez tego szychowego baldachimu, pod którym ich przyjaciele w procesyach uroczystych oprowadzają. Z krótkich wzmianek a nawet obszerniejszych sprawozdań czytelnicy nie mogą wyrobić sobie dokładnego pojęcia o tym lub owym pisarzu. Trzeba go rozebrać z modnego fraka, rękawiczek, życzliwych upominków i orderów, okryć jedynie grecką togą, którąby osłaniając nagość, nie gubiła istotnych kształtów—i tak pokazać publicznie. Zyska on wtedy na prawdzie, a straci na fałszu, uwydatni swoją siłę i zdrowie, a pozbędzie się kosmetyków. Nasi zaś autorowie, przyjmując czynny udział w prasie, w jej często błahych robotach i walkach noszą na sobie tyle sadzy, znoju, błota lub koleżeńskich wieńców, że ogół nie zna dokładnie ich właściwej fizyognomii. Kim jest Prus, Sienkiewicz, Chmielowski, Konopnicka, Zalewski, Lubowski itd. — każdy cyrkuł dziennikarski wydaje inne świadectwo, albo też wszystkie wydają im paszporty na przejazd do mniej lub więcej zaszczytnych miejsc w literaturze — wszakże bez szczegółowego rysopisu. Ot po prostu mówi się — zdolny, utalentowany, znakomity lub „nasz znany.“

Ze względu na zajęcie, jakie zbudziła powieść *Ogniem i mieczem*, galeryę naszą rozpoczniemy obszernym wizerunkiem Henryka Sienkiewicza.

O SAMOBÓJSTWIE ZWIERZĄT.

III.

Pokazuje się więc, że popęd samozachowawczy u zwierząt może w pewnych okolicznościach osłabnąć, a nawet całkiem zamrzeć, podobnie jak i u ludzi. Gdyby więc samobójstwo było bezpośrednim następstwem jego osłabienia, zwierzęta posiadałyby wszystko, co potrzeba, do jego spełnienia. Tak jednakże nie jest, a najlepszym dowodem to, że chociaż zwierzęta, trapione smutkiem i tęsknotą, zdychają — zdychają nie dla tego, że chcąc rozstać się z życiem, postanowiły nie przyjmować pokarmu, ale dlatego, że smutek odbiera im apetyt, który jest dla nich jedynym bodźcem do szukania pożywienia. Osłabienie popędu samozachowawczego zdradza tylko zniechęcenie, niezadowolenie; ale samo zniechęcenie inaczej objawia się w człowieku, a inaczej w zwierzęciu. W człowieku przybiera ono charakter wyraźny, określony, występujące jako niezadowolenie z siebie, z życia itd. Przeciwnie w zwierzęciu, które nie posiada świadomości oderwanej, potęgującej się przeciwstawieniem swego *ja*, jako całości, światu zewnętrznemu, pojętemu również jako całość, niezadowolenie, pochodzące z osłabienia popędu samozachowawczego, ma charakter nieoznaczony. Cała jego świadomość, natury czysto konkretnej, opiera się wyłącznie na różnicy, jaka zachodzi między wrażeniami umysłowemi i uczuciami, które ono uważa za swoje, a spostrzeżeniami, które wynosi po za siebie i uważa za przedmioty zewnętrzne. Nie jest ono zdolnem ani do wewnętrznej obserwacyi, ani do pojęć oderwanych i ogólnych a dla tego przedmiotem jego niezadowolenia nie może być ani ono samo, ani życie i świat, gdyż tego rodzaju pobudki są mu całkiem obce.

Zresztą, jakkolwiek niezadowolenie z siebie i życia jest koniecznym warunkiem te-

---

VII.

— A tutaj tymczasem kum przysiężny będzie przez dzień pilnował aresztanta! — dodał wójt na odchodnem.

Przysiężny obejrzał mnie, łańcuchy i kłódki, a potem usiadł na progu, gawędząc naprzemian z gospodarzem, z gospodynią, to znów z babulą. Gospodarz wyciągnął z pod szopy pług, wyniósł jarzmo, a potem zajrzał do wołów. Przez ten czas, żona ugotowała obiad. Woła do chaty. A tu ja taki osłabiony, taki cierpiący i głodny, że tylko Bogu jednemu wiadomo! Przytem na przyzbie, w cieniu, chłodno człowiekowi, choć słonko wysoko. Popełznąłem na słońce, siadłem sobie na płycie i patrzę do sieni. Słyszę, jak łyżkami stukają, gwarzą, przysiężnego proszą do obiadu...

— Jedzcie zdrowi, niech Bóg błogosławi — odpowiada on (siedzi na progu obrócony do mnie plecami). Ja—mówi—przekąsiłem na wychodnem, a i tak niezadługo żona przyniesie mi obiad.

O mnie nikt ani spytał. A tu barszczyk podbielany tak pachnie, tak pachnie, Boże mój, rok życia oddałbym za miskę! Zjedli obiad. Gospodarz oddalił się powoli. W tem spojrzę, stara ukradkiem niesie miskę barszczu.

— A co — mówi, nieboraczku, o tobie wszyscy zapomnieli?.. Masz sieroto, skosztuj, pożyw się. Ale prędko, żeby ten herod nie dostrzegł!..

— Niech wam Bóg stokrotnie nagrodzi— wyszeptałem i wziąłem miskę. Ręce mi się trzęsły — a pod starą kolana dygotały ze strachu. Ale gdzie tam! Ledwie przełknąłem trochę, aż tu widzę „herod“ nadchodzi. Jak zobaczył, rzucił się piorunem.

— Co — krzyknął, wy tutaj moją pracą złodzieja karmicie? A smoły mu gorącej!

Wyrwał mi z rąk miskę i cisnął za starą, szczęściem nie trafił, miska roztrzaskała się o kamień w drobne czerepy. Stara w nogi, a on do mnie.

— Choćbyś miał zginąć z głodu, nie dam ci ni okruszyny skosztować. Bodaj mi ręka uschła, jeżeli kłamię!

— Ależ, kumie, uważajcie — zagadał przysiężny.

— Albo co, wójt kazał mi go pilnować, ale karmić, nikt mi nie każe!

I ruszył do wołów. Lecz przechodząc mimo, raz jeszcze z całej siły kopnął mię butem w samą jamę pod piersiami. Jak siedziałem na płycie, tak i przewróciłem się na wznak i nie pamiętam już, co się ze mną potem działo. To wiem tylko, że kiedym oprzytomniał, leżałem na innem miejscu, zmoczony wodą, nademną stali stara i przysiężny. W piersiach kość się przełamała, tak że do dzisiaj rusza się jeszcze.

VIII.

Słońce wskazywało właśnie południe i piekło żarem. Przysiężny poszedł pod szopę i zjadłszy obiad, drzemał. Gospodyni krzątała się w chacie, a stara, jak kwoczka, dreptała tędy i owędy. Litowała się nademną, ale strach miała wielki.

— Ej, babusiu — mówię do niej — Bóg wam latka przedłuży, dajcie choć trochę przegryźć!

— Kiedy się boję, synku.

— Nie bójcie się, przysiężny nie zabroni, a tamten pojechał.

Stara namyśliła się, poszła potem do chaty, potargowała się trochę z gospodynią i wyniosła mi drugą miskę barszczu, kromkę chleba i kaszę z mlekiem, tak, że się od biedy pokrzepiłem.

Boże mój, myślę sobie, żeby tak teraz na wolnym świecie, jeszczebym znalazł dość siły do ucieczki!..

Stara wyniosła kożuch na przyzbę, usiadła i przędzie. Przysiężny zaczął z nią gawędzić, ale leniwo. Skwer dopiekał.

— Ej, panie przysiężny—wyjęczę, spójrzcie na mnie, jaki ja zbity i zmęczony, a patrzcież, jak tu słonko doskwiera. Pozwólcie mi odpocząć trochę. Ot, tutaj w stodole. Toż i tak, gdy gospodarz wróci noc moja przepadła!

— Oj tak, tak — dorzuciła stara, co się go też nie nakatował tej nocy, niech Pan

go rodzaju samobójstwa, samo przez się nie prowadzi ono jeszcze do niego. Potrzeba, ażeby istota, zniechęcona do życia, zapragnęła śmierci. Otóż podobne pragnienie może powstać tylko w takiej, która posiada mniej więcej dokładne pojęcie o warunkach życia, która na śmierć zapatruje się, jako na zaprzeczenie jego, znoszące odrazu wszystkie cierpienia osobnika moralne i fizyczne. Pojęcia te opierają się na tak obszernym zakresie doświadczenia, jaki jest możliwym tylko w społeczeństwie ludzkiem i są wypadkiem tak złożonych i zawikłanych czynności umysłowych, do jakich zwierzęta nie posiadają wcale zdolności. Z drugiej strony, samo zapragnienie śmierci wymaga pewnej refleksyi, możności zdawania sobie sprawy z tego, co się dzieje w naszem sercu. Takiego zagłębiania się w siebie niepodobna przypisać zwierzęciu. Nie dość tego. Pragnienie śmierci nie jest jeszcze zamiarem samobójstwa, jak również powzięcie tego zamiaru nie jest jeszcze jego wykonaniem. Są to oddzielne momenty umysłowego prawa, w którym najsprzeczniejsze uczucia i skłonności, najróżnorodniejsze pojęcia i zasady czynny biorą udział; każdy z nich powstaje pod wpływem nowych pobudek, odrębnych pojęć i wiadomości. Pobudkami, skłaniającemi człowieka do samobójstwa, są zwykle jego potrzeby moralne i umysłowe, które w społeczeństwie rozwiniętem takiej nabierają mocy, że życie bez ich zaspokojenia staje się ciężarem; wiadomości zaś, konieczne do wykonania samobójstwa, są tak rozległe, że do ich wytworzenia niezbędnem jest doświadczenie zbiorowe, możliwe tylko w społeczeństwie, które ma na usługi mowę członkowaną.

Powyższe wywody, czysto teoretyczne, znajdują najzupełniejsze potwierdzenie w danych, jakich nam dostarczają etnografia, statystyka i historya. Pokazują one, że w społeczeństwach, zajmujących wyższy stopień oświaty, mających ustrój państwowy, który pozostawia osobnikowi jak najszerszy zakres działania, ale zarazem i całą odpowiedzialność za jego czyny—samobójstwo należy do zjawisk zwykłych; przeciwnie, w społeczeństwach mniej rozwiniętych, w których osobnik mniej polega na sobie i mniej ma swobody, samobójstwo bywa daleko rzadszem. U ludów barbarzyńskich stanowi ono wypadek nadzwyczajny; u tak zwanych zaś dzikich, jeżeli się i zdarza kiedy, to tylko w wypadkach głodu, albo podczas obrzędów pogrzebowych, jako akt czysto religijny.

Fakty te dowodzą jasno, że samobójstwo jest czynem, którego powody leżą w warunkach życia społecznego, w jego stosunkach zawikłanych, budzących pewne potrzeby, lecz niedostarczających środków do ich zaspokojenia. Jakoż wiadomo, że przewroty polityczne, religijne i umysłowe, klęski ekonomiczne, nieszczęścia rodzinne, namiętności i wszelkiego rodzaju zawody w dążnościach i usiłowaniach są najzwyklejszemi przyczynami samobójstwa. Jakkolwiek bowiem człowiek, będąc osobnikiem, czuje się niezależnym w swem wewnętrznem ognisku, jest on przecież tak silnie związany z ogółem swemi przekonaniami, uczuciami, pragnieniami i całą działalnością, że każde zaburzenie i przewrót, jakie dokonywają się w społeczeństwie, odbijają się na nim, niszcząc jego nadzieje, budząc wątpliwości i obawy, stwarzając dlań stan niepewności i niepokoju, który najbardziej wyczerpuje siły jego. Naturalnie, że przyczyny te nie na wszystkich oddziaływają w sposób tak fatalny. Dla popchnięcia kogoś do samobójstwa, potrzeba, by znalazły się w nim sprzyjające dla siebie warunki. Do takich warunków należy przedewszystkiem słabość woli, brak głęboko wpojonych zasad i wyraźnego celu w życiu. Dlatego też można zgodzić się z Morsellim, autorem najgruntowniejszej pracy o samobójstwie, że ono też jest właściwą społeczeństwu ludzkiemu formą wyboru naturalnego, usuwającego z pola życia osobniki, które nie posiadają potrzebnych przymiotów do walki o byt, które nie są zdolne przystosować się do warunków otoczenia.

Dochodzimy tego do stanowczego wniosku, że zwierzęta nie posiadają żadnych uzdolnień, jakich wymaga wykonanie samobójstwa. Nie jest ono objawem instynktu, gdyż tego rodzaju instynkt jest niemożliwym, może więc być uważane za akt świadomie dokonany, za czynność rozumową. Otóż czynność rozumowa zwierząt, opierająca się na ich osobniczem doświadczeniu, nie dosięga wysokości aktu tak złożonego i skomplikowanego, jak samobójstwo. Czynniki moralne i rozumowe, które się na nie składają, jak: potrzeby moralne, religijne i umysłowe, refleksya, pojęcia oderwane, a nareszcie wiadomości praktyczne, konieczne do wykonania samobójstwa, są im całkiem obce.

Okazuje się stąd jasno, że mniemane samobójstwo zwierząt jest czystem przywidzeniem, opierającem się głównie na niewłaściwem rozszerzeniu zakresu analogii, jaka zachodzi między umysłem ludzkim a zwierzęcym, przywidzeniem, niemającem za sobą żadnego faktu, któryby przemawiał na jego korzyść. Doświadczenia bowiem, czynione ze skorpionami, bynajmniej go nie dowodzą: naprzód dlatego, że nie zgadzają się w swych wynikach, a powtóre, że dają się wytłomaczyć w sposób bardziej naturalny. Mówiłem już, że w pierwszym wypadku, gdy skorpion zranił się podczas miotania się, zranienie to mogło być nieumyślnem, lecz przypadkowem, pochodzącem z nieostrożności i nieuwagi. Jakkolwiek to tłomaczenie nie ma w sobie nic nieprawdopodobnego, nie wystarcza ono choćby dlatego, że nie daje się zastosować do drugiego wypadku, w którym skorpion po chwili uspokojenia uderzył się w głowę w sposób, mający wszystkie cechy działania zamiarowego.

Chcąc oba te wypadki należycie wyrozumieć i wytłomaczyć, potrzeba tylko przypomnieć, jak w podobnych okolicznościach zachowują się ludzie. Zdarzało się nam nieraz widzieć lub słyszeć, że człowiek, pod wpływem bólu fizycznego lub moralnego, albo też w napadach szalonego gniewu rwie włosy, bije się pięściami, a nawet rani się niebezpiecznie, szukając w ten sposób ulgi i ukojenia, ulegając mimowolnie potrzebie zużycia pewnej sumy energii, nagromadzonej w ośrodkach nerwowych. Z podobnymi objawami spotykamy się i śród zwierząt. Niedźwiedź raniony gryzie z wściekłością łapy, szarpie zębami ciało, gdy nie może doścignąć wroga. Rzecz więc jasna, że i skorpion, dręczony ogniem, wpada w wściekłość i nie mogąc zwrócić zabójczego swego narzędzia przeciwko dręczycielowi, rani samego siebie, nie wiedząc nawet, że w ten sposób przyprawia siebie o śmierć. Na potwierdzenie można jeszcze dodać i to, że gniew i wściekłość stają się zwykle powodem obfitszego wydzielania jadu we właściwych przyrządach, co sprawia drażnienie w żądle i pobudza zwierzę do pozbycia się nagromadzonego jadu. Skorpion, raniący siebie i zabijający się, o tyleż może być posądzony o zamiar samobójstwa, ile pszczoła, zatapiająca swe żądło w ciele człowie-

---

Jezus broni! Nie wiem, jak sierocisko wytrzymał.

Przysiężny zawahał się.

— Ba, a nie umkniesz ty paniczu?

— Bójcie się Boga i jakże mnie uciekać! Kroku stąpić nie mogę, no, a żelazo także nie glina. Byle tylko odpocząć trochę na klepisku między słomą.

— Pozwólcie mu, pozwólcie, panie przysiężny, prosiła stara. Leży tam słoma od onegdaj jeszcze i płótnianka, i kożuch, co się to nim gospodarz okrywał. A jak się drzwi otworzy, to stąd wszystko zobaczymy. I którędy by on zresztą uciekł!

— Ha, niechaj i tak będzie. Idź więc i przeleż się — rzekł i posunął swą kłodę naprzeciw szopy tak, ażeby mógł wprost na mnie, od czasu do czasu spoglądać.

— Chwała ci Panie — pomyślałem sobie i polazłem raczkiem na klepisko. Ległem, okrywszy się kożuchem, ach jak mi się lekko zrobiło. Poczęłem naraz w sobie jakąś siłę, odwagę. Leżę na wznak i patrzę. Zasieki pełne snopów, zawalone aż po banty. A nad bantami nie dołożono, tak, że przeleść można. Żeby się tam dostać, myślę sobie, dalej już bajki, przebiłbym przyczółek, potem w dół po strzesze i bęc w ogród za stodołę. A tam... Nie chciałem i myśleć o tem co będzie „tam," byle tylko się dostać!..

Patrzę dalej. Przysiężny kiwa się w drzemce, stara przędzie na przyzbie! Jakbym się cicho sprawił, nie usłyszeliby, a nimby się porwali, minęłoby sporo czasu. Ale ba, co począć z żelazem, którem skutą była prawa ręka z lewą nogą! Co z tem poradzić? Ej, a gdybym spróbował, czy nie uda się skówkę zsunąć. Zaparłem oddech—daremnie. Jeszcze raz — nie idzie, chociaż niewiele brak. Et, choćby mi przyszło i skórę z ręki zedrzeć, wszystko głupstwo. Tymczasem jednak lękam się potroszę, bo nuż przysiężny przyjdzie oglądać! Poczekam jeszcze, a tymczasem naskręcam cienkich przewiąseł z siana, owinę potem kajdany, żeby nie brzęczały. Siano w kącie, dobrałem się do niego i trzymając ręce pod kożuchem, kręcę, a oczami śledzę tylko na wszystkie strony. Naraz, patrzę, zerwał się mój przysiężny, spojrzał i podchodzi do mnie.

— A cóż ty złodzieju, spisz?

— Drzemię.

Podszedł bliżej, spojrzał na mnie i wrócił znowu do kłody.

IX.

— Teraz pora! — pomyślałem sobie i pośliniłem okutą rękę, ażeby tem łatwiej zsunąć żelazo. Jak pocisnąłem — to i zleciało, chociaż mi wszystkie kości zatrzeszczały. No, dobrze, że ręka wolna. Szybko przewiąsłami okręciłem kajdany i przywiązałem je do nogi, a po wierzchu nasunąłem pantalony. A teraz, chyba na banty! Obejrzałem się: przysiężny drzemie pod szopą, babula przędzie. Dobrze. Leciutko wypełzałem z pod kożucha, ale tak, ażeby leżał na dawnem miejscu i żeby zdaleka mogło się zdawać, że pod nim śpię. Ledwie się stamtąd wydobyłem, zaraz szust w kąt, gdzie mię już z podwórza widzieć nie było można, a stąd w górę po ścianie, po dylach. Trudno mi było, ale strach dodawał siły, wdrapałem się. No, a kiedy już byłem na belce, chwyciłem za krokwie i trzymając się, po łatach, jak po schodach tyłem zwieszony nad klepiskiem, dolazłem do bantów. Stamtąd wydobyłem się na snopy i dalej do strzechy. Raz, dwa, wydarłem kilka snopków i otworem przecisnąłem się na dwór. Boże, jakże mi się świat wydał miłym, kiedy zbity, zmęczony, drżący, wysunąłem głowę przez strzechę, niby szczur z mąki! Hajże, dołem strzechy, w sad i w dół sadu nad rzekę!.. Rzeczka nie szeroka, ale głęboka, spokojna. Niema czasu do namysłu, hajda w wodę! A za wodą łąka, dalej wikliny, olszyna, a jeszcze dalej szerokie łąki, zasiane kopami siana. Jak stałem rzuciłem się w rzekę — i tak mię wówczas woda odświeżyła, że migiem stanąłem na przeciwnym brzegu; przebiegłem łąkę i w łozy. Tu ja pan! Kto mię odszuka! W łozach dopiero odetchnąłem. Słucham. We wsi krzyk gwałt! Po sadzie biegają, szukają, naradzają się. Ehe, myślę ja sobie, szukajcież wiatru w polu!

ka. Sprawia mu ona ból niewielki, a sama skazuje się na śmierć, gdyż nie mogąc wyciągnąć zapuszczonego żądła, urywa je, ale wraz niem szarpie sobie wnętrzności i zdycha.

Władysław Kozłowski.

TEATR.

Właściciel kuźnic (Maître de Forges), dzieło sceniczne w pięciu aktach Jerzego Ohneta, z francuskiego tłomaczone.

Niezawsze powodzenie utworu jest probierzem jego wartości. Często odpowiedniość, zachodząca pomiędzy przeciętnym gustem chwili a zdawkową robotą, nadaje jej cenę obiegową bardzo znaczną. Konwencyonalizm wprowadza do literackich warsztatów często jednostajne miary i szablony, wedle których zręczni technicy przykrawają swe wyroby. Bierze się jakąś, choćby zużytą wielokrotnie sytuacyę, parę postaci także znanych, tylko na nowo powleczonych świeżym pokostem, wybiera sceny nadające się do efektu, rozciąga jedne, skraca drugie, w tem miejscu rozciekawia się, w tem rozśmiesza, tu lub tam skupia się niespodzianki, wikła osnowę, pląsze kunsztownie grę uczuć—i oto urobiona z tego coś w rodzaju *Maître de Forges* sztuka, która dla scen i autora była złotodajną kurą. Śród pisarzy dzisiejszych Ohnet należy do najbardziej wziętych, gdyż posiadł tajemnicę trafiania do gustów przeciętnych i stał się Shakespearem... mieszczaństwa. Ostatni jego utwór jest żywem świadectwem wyczerpania się i duchowej anemii francuskiego dramatu, który spada powoli do rzemieślnictwa, jeżeli się nie odrodzi tchnieniem nowych talentów lub jakim literackim przewrotem. Miarą żywotności sztuki jest zawsze świeżość motywów; tutaj zarówno w pomyśle ogólnym, jak i w scenach pojedynczych co krok przypominają się pomysły znane, niby dawno słyszana melodya z nowemi tylko waryacyami. Są to dzieje arystokratyczno-mieszczańskiego mezaliansu w dzisiejszym stylu. Ona dumna, porywcza, ambitna hrabianka, on fabrykant, ulepiony wedle modły tej sfery ideałów. Feuillet w *Dwu światach* stworzył jego pierwowzór. Mężczyzna piękny, wyniosły, Herkules z ogładą gentlemana i zadumą marzyciela, prawy, rycerski, jeden z tych bohaterów teatralnych, którzy zajęci są nieustanną wystawą własnych przymiotów i zdają się do widza mówić ciągle: podziwiaj! Robotnicy wyprawiają mu owacyę, podają bukiety i wieńce, a jego małżonka hrabianka zamienia uścisk z najstarszym przedstawicielem ludzi kowadła i młota. Arkadyjskie zaiste stosunki! Cały węzeł przeciwieństwa pracy i kapitału rozwiązany w tym pocałunku braterskim, w tej mówce i w bankiecie urządzonym dla rzeszy roboczej w parku fabrykanta, który zajął jakąś dawną magnacką siedzibę. Co za radość dla mieszczaństwa, że pokazują ze sceny jego przedstawicieli w tak dobrych okazach! Ciekawa rzecz jednak, jak za lat kilkanaście będą wyglądać tacy bohaterowie kapitalizmu ulepieni z optymistycznej gliny; tymczasem dzisiaj skazani jesteśmy na podziwianie ich niepospolitych i nadzwyczajnych przymiotów. Cały zresztą dramat polega na tem, że bohater główny podnosi się z każdym aktem wyżej w moralnej przewadze i szturmem zdobywa serce hrabianki, która za niego poszła na złość dawnemu narzeczonemu, zdobnemu mitrą łowcy mieszczańskiego posagu. Dumny i energiczny kowal zna dobrze tajemnicę grania na drażliwych strunach kobiecego serca i wie, jakim sposobem ma złamać i zgiąć pychę hrabianki, która tylko z imienia nazwała go mężem. Proces ten trwa stopniowo przez cztery akty i kończy się moralnem zwycięstwem kowala. Gdy przyszło między nim a księciem do krwawej rozprawy, kobieta, która go dawniej odtrącała, zasłania własną piersią, rzuca się pomiędzy walczących i... pada rażona strzałem... Umarła? Gdzie tam! Tragiczne rozwiązanie drażniłoby nadto słuchaczów i sprzeciwiało się przyjętym formułom. Wprawdzie takie rozprawy orężne urządzają się zwykle pocichu, w sekrecie przed kobietami, w jakiejś odległej ustroni, ale licząc się z tymi względami, autor nie mógłby zakończyć sztuki efektowną sceną pojedynkowej pukaniny. Zasłona spada nad klęczącym u kolan hrabianki fabrykantem. Ich miłość i małżeństwo uświęca się krwawym chrztem, tak że zapewne mieszczańsko-hrabiowski mezalians nie będzie podobnym do siewu na jałowej roli.

Poddawszy całą zawartość sztuki analizie krytycznej, nie wykryjemy w niej nic oryginalnego, chociażby z pomocą najściślejszych odczynników. Główne postacie należą do teatralnych banalności, kreślonych z pewnymi pozorami realizmu, dla efektu jednak raczej, niż dla prawdy—reszta składa się z drugoplanowych, bladych szkiców.

Pod względem scenicznym całość budowana z wielką zręcznością; akt pierwszy jest prawdziwie świetnem zawiązaniem, w następnych, chociaż akcya niezawsze idzie rozpędowym biegiem, zajęcie sztuki nie słabnie a zużyte nawet sytuacye wyzyskane z dziwnym sprytem i zręcznością. Chociaż kulinarne porównania nie podobają się mojemu redaktorowi, powiem jednak, że sztuka ta podobną jest do pasztetu z odgrzewanej zwierzyny, przyrządzonego doskonale i oblanego wybornym sosem. Wybredni czują, że tę potrawę w nienajwytworniejszym gatunku ogół konsumentów połyka ze smakiem.

Nic dziwnego, że grano u nas ten utwór doskonale, bo dramat mieszczański oddawna stał się specyalnością naszych artystów. W głównej roli p. Marcello bez przechwałek była świetną i odniosła jeden z tych scenicznych tryumfów, wobec których krytyk z przyjemnością może zamienić stalówkę na—trybularz. Pan Ładnowski grał z uczuciem i wykończeniem roli bohatera, chociaż nie mógł się w niej imponująco przedstawić dla braku odpowiednich warunków. Czyżby artysta niezwykłego talentu i inteligencyi nie czuł, że tak często narzucane mu są zadania nieodpowiednie, które nie mogą podnieść jego sławy? Galeryę główniejszych postaci sztuki odtworzyły z powodzeniem panie: Niewiarowska, Czaki, Ładnowska, panowie: Tatarkiewicz, Prażmowski i Ostrowski, którego humor na tle sztuki przebijał się jak skośne promienie słońca na krawędziach szarych obłoków.

OPERA.

Opera nasza, leniwie niedawno wegetująca, nowem zadrgała życiem, zyskawszy kilka dobrych czynników wykonawczych, pomiędzy którymi najbardziej magnetyczną siłę dla publiczności posiada p. Myszuga, przyjemny tenor liryczny. Jakkolwiek młody śpiewak rozpoczyna dopiero swą karyerę, jednakże występuje już ze znacznym zasobem sztuki śpiewania, chociaż pod względem muzykalności potrzebuje jeszcze wzmo-

---

Śmignąłem przez wiklinę i dalej łąkami. Gdzie pracowali ludzie przy sianie, tam ich wymijałem, kryjąc się za kopki. Łąki w tych stronach ciągną się daleko wzdłuż rzeki. Do kilku panów należą. Gdzieniegdzie jeszcze widać, kopy, ówdzie już tylko sterty, albo stogi, w tych miejscach pusto dokoła.

Ściemniło się. Zmęczony byłem strasznie, pragnienie pali, całe ciało boli. Koniecznie potrzeba gdzieś odpocząć! Wyszukałem więc wielki stog siana, na pagórku, nad samą rzeką. Stog był już oddawna skończony, przykryty snopem i przewiązany na krzyż łozinami. Po łozinach wdrapałem się aż pod sam wierzch, wygrzebałem tam norę, w której mógł się wygodnie człowiek skryć z czubem, a potem zsunąłem wybrane siano dołem pod pręty. Wtedy dopiero, do wody. Opłukałem z krwi moje łachy i sam się też obmyłem... Gdybyście wtedy widzieli moje ciało, całe sine i w pręgach jak posiekał. Wymoczyłem się w wodzie uczciwie, póki łachy na brzegu nie wyschły, a potem do legowiska. Ułożywszy się wysoko w górze, tak, żeby mię nie namacano z ziemi, a przytem zasłoniwszy głowę snopem, mogłem widzieć wszystko, jak na dłoni. Ale niedługo patrzyłem dokoła. Pusto; ani żywej duszy. Jak nie zasnę po tych tarapatach, to mówię wam, przez dwie doby nie wyłaziłem z nory. Chwilami czułem się tak osłabionym, że ani ręką ani nogą ruszyć, i samochcąc życzyłem sobie śmierci. To znów wstępowała we mnie jakaś siła, a wtedy zacząłem znowu rozmyślać, co począć dalej.

X.

I cóż dalej? Przeleżałem tak dwie doby nie ruszając się. Głód, pragnienie. Rozmyśliłem się dobrze, przeczekałem do wieczora i hejże z kryjówki do tego samego sioła. Mieszkał tam mój znajomy, więc do niego.

Podjadłem, pokrzepiłem się i jeszcze tej nocy znaleźliśmy się u tego samego gospodarza w komorze. No, aleśmy go tak oczyścili, że pewnie nie poskarżył się na nas! A byłem tak rozsierdzony na niego, że nie mogąc zabrać dwóch kożuchów, porznąłem oba na strzępki.

Nieraz jeszcze potem pytałem ludzi z tamtych stron: a co mój gospodarz porabia? Śmieli się ludziska. Mówili, że z początku napadł był na starą, omal, że nie zabił babuli, pomawiając ją, że wypuściła złodzieja. A kiedyśmy go za kilka dni oczyścili do nitki, przycichł i ustatkował się. Zawsze jeszcze, powiadają, boi się, żeby go nie podpalili.

— Durniu, durniu! — mówię na to. Powiedzcie mu, niech się nie lęka. Nie taki ja głupi, ażebym *buchnąwszy* zostawiał *sztemp*[1]) po sobie. Za podpalenie kara wielka, a dla mnie pożytek nijaki. Ot powiedzcie mu, niechaj tylko znowu w komorze naskłada magazyn, a już ja tam po starej znajomości przypomnę się jak należy! [1]).

[1]) *Sztemp* — ślad.

[1]) Opowiadanie to słyszałem w r. 1877 z ust sławnego złodzieja Michała Zabrańskiego i podaję je obecnie nie dla moralizacyi lub nauki, ale po prostu jako materyał do bliższego poznania prawnych pojęć i obyczajów naszego ludu. Rozumie się, nie mogłem wówczas spisać tego opowiadania dosłownie, w takim bowiem razie byłoby bezwątpienia o wiele żywszem. Jednakże dopełniwszy z pamięci braki, starałem się, o ile możności, zachować ton i układ pierwotny i dlatego zastrzegam się z góry, co do własnego artystycznego opracowania, którego w niniejszym obrazku nie widać prawie. Nie usiłowałem również zmienić dla artystycznych względów zasadniczego poglądu na świat starego złodzieja, skutkiem czego w powyższym wątku niejedno może się wydać dzikiem i niemoralnem. O samym autorze i bohaterze niniejszego opowiadania, wspomnę tylko, że zaliczał siebie do t. z. złodziei „komorowych“ i wówczas kiedy go poznałem, był już w podeszłym wieku.

P. a.

znić swe studya, utrwalić czystość intonacyi, niedopisującą, co prawda, rzadko i oduczyć się zwalniania tempa. Głos jego nie posiada obszernego woluminu, ale jest rozległy, giętki i przyjemny, chociaż sądzimy, że używając mniej tonów białych, otwartych, może mu nadać przyjemniejsze jeszcze brzmienie. Bądź co bądź, p. Myszuga nie jest tylko gardłem, ale indywidualnością artystyczną. Nie ma on może porywającej potęgi zapału, nie ma tej przejmującej do głębi siły uczucia i dramatyzmu, jakie posiadał w tak olbrzymim stopniu Dobrski, a w znacznym—Filleborn, ale ma smak estetyczny, umiejętność ekspresyi, która w ustępach lirycznych sprawia silne, przenikające wrażenie, poparta wielką umiejętnością frazowania. Dlatego artysta potrafi wzruszyć słuchaczów do głębi, gdy z jego piersi płynie strumień miłosnej melodyi *Fausta*, gdy zabrzmi głos jego rzewną a głęboką tęsknotą Lionela w *Marcie* lub szeroko rozśpiewaną boleścią. Na scenie naszej p. Myszudze przyświeca gwiazda tem szczęśliwsza, że przybył do nas ze stemplem obcego uznania, gdyż zaczynając na miejscu, musiałby się dłużej dorabiać. Dyrekcya pozyskała stałą działalność śpiewaka na korzystnych dla niego warunkach, które w razie zmiany gustu publiczności mogą stać się uciążliwe.

S. K.

LIBERUM VETO.

Powódź w gazetach.—P. Izabela Ryxowa. — Pyszny widok. — Westchnienie filantropa. — Woda i ogień.— Wianki, które nie mogły być puszczone. — Im gorzej, tem lepiej.—Skarga artystki. — *Satyry* K. Opalińskiego.—Dziwny zwyczaj p. K. Bartoszewicza.—Wniosek do laski sejmu literackiego w przedmiocie korekty. — Dobrowolna ofiara. — Słaba nadzieja. — Potrzeba ustnego porozumienia się.

Wylew Wisły zatopił w dziennikach wszystko, co w niej nie zatonęło. Nie czytamy już ani obszernych filozofowań teatralnych, ani stereotypowych wykrzykników nad „wyrodną matką,“ która porzuciła swe dziecko, ani zapewnień o rozmaitych „śledztwach w toku“ — połowę kolumn w gazetach zajęła powódź tak dalece, że nie śmiem złożyć hołdu nawet dzielnej a według wizerunku w *Tygodniku powszechnym* pięknej „gospodyni,“ chlubnie odznaczonej na tegorocznym popisie wystawowym — p. Izabeli z Kropiwnickich Ryxowej. Jacy to szczęśliwi ludzie ci pp. L. Górski i A. Goltz, których w grupie portretowej umieszczono obok niej! Mają też oni obaj — jak na późny wiek przystało — dumne miny, ale ona nie spogląda na żadnego z sąsiadów, lecz patrzy wprost a z oczu jej tryska rozum i energia. Doprawdy, trudno uwierzyć, ażeby u zas, młoda i urodziwa niewiasta, która w zwykłym biegu swych zajęć nigdy o żadnej hodowli nie myśli i co najwyżej na wystawie inwentarza zbytkowne suknie okazuje—popisywała się z rezultatami poważnej pracy. No, no — dzieją się czasem rzeczy, o których filozofowie nie śnili...

Ale—jak rzekłem—Warszawa już o wystawie zapomniała, bo ma powódź — ma pyszny widok! Wisła płynie szerokim i spienionym nurtem, zrywa brzegi, przybiera, grozi, szerzy zniszczenie, zalewa ulice Warszawy, po których krążą łodzie zamiast dorożek — jak tu nie paść oczu wrażeniami! Tam w redakcyach miłosierni zsypują wielkie i małe datki dla biednych, tu niosą pozbawionym dachu doraźną pomoc— wspierający i wspierani są rzeczywiście smutni, boli ich albo własne, albo cudze nieszczęście—ale tłum, zgromadzony na moście i brzegach rzeki, bawi się wspaniałą dekoracyą natury, ma to, o co mu przedewszystkiem chodzi—piękny widok.

— Gdyby Wisła tak zawsze płynęła! — westchnął w tramwaju jakiś filantrop, szczerze zmartwiony tem, że jutro, pojutrze, za tydzień straci na długo bezpłatną przyjemność.

Widziałem na brzegach i moście ludzi, jedzących czereśnie, romansujących, zagapionych, czatujących na cudzą kieszeń, wesołych, rozgniewanych, obojętnych, ale nie widziałem smutnych, świadomych, że w tym „wspaniałym widoku“ zatonęły miliony strat, że on jest najstraszniejszą klęską obecnego roku.

Przy mnie stoi dwu mężczyzn, biednie ubranych.

— To wszystko — mówi jeden — od trzęsienia ziemi. Jak zaczęło górami w Galicyi trząchać, tak z nich woda wyleciała do Wisły.

— Mówią—odparł drugi — że tam wielkie deszcze spadły.

— Ot, gadanie, niby to u nas deszcze nie padają, a przyboru takiego niema. Trzęsło, aż wyspa w morzu utonęła. Ale się przewożnicy obłowią. Wczoraj jeden wyciągnął pięć belek, powiadam wam, każda najmniej po trzy ruble. I nie napracował się. Woda lepsza niż ogień, bo ona jednemu bierze a drugiemu daje, a ogień sam wszystko zje. Przed paru laty my w Siekierkach złapali krowę; żeby się kto nie przyczepił, zanurzyli pod wodę aż się zatknęła, poćwiertowali i mieli co jeść przez tydzień. Pal dyabli fabrykę, trzeba jutro polecić w górę Wisły, bo tu nic nie dadzą.

— I tam nie dadzą.

> Będę o to starostwo konkurował z drugim,
> A jeśli nie uproszę, rzekę: i tegom się
> Także spodziewał, że mię ubieżeć miał inszy.

Z drugiej strony wymyta i upomadowana służąca szepcze do swego kawalera:

— Dobre i to, kiedy wianków nie będzie. Niech pan Dominik tak do mnie nie przylega, bo mi w bok gorąco! A jak gruchnie w słupy, to most się nie zawali?

— On ma gumowe podbicie na dnie, woda nie przesięknie i słupów nie przewróci, bo się uniosą jak na resorach. Jadąc koleją — to czuć.

— Moja jędza zapowiedziała: gdy wianek puścisz, to zaraz wracaj. Niedoczekanie twoje! Muszę widzieć chociaż psa na dachu i kolebkę z dzieckiem. Wykręcę się, że puszczałam kilka wianków.

— To i dobrze panna Franciszka zrobi. Jabym wszystkie złapał, tylko że park praski zalany.

— Panie Dominiku, bo, jak bozię kocham, trzasnę. Ludzie stoją!

> Trudno i o takowe, jak była ona,
> Dombrówka księżna ruska, Mieczysława żona.

— Im gorzej, tem lepiej — rzekł przechodząc jakiś młodzian w zaniedbanej odzieży do swego towarzysza, który był tyle skromny, że cholewy od butów sprawił sobie tylko po biodra.

> *Alias*: im więcej
> Po wierzchu się nadstawiasz, tymeś mniejszym u mnie.

— Tak zawsze u nas — skarżyła się podżyłemu jegomości jakaś nadmiernie, ze szkodą wszelkich wypukłości wyciągnięta dama; zamiast galeryę na wieży Towarzystwa wioślarskiego ustąpić artystom, którzyby rysowali piękne widoki, to napuszczono gapiów.

— Możeby z mostu?

— Ach, dajże pan pokój, pan nie rozumiesz, o co mi idzie.

Słowem, jedni szukali korzyści, drudzy romansowali, inni cieszyli się, inni rysowali, a podobno najmniej było takich, którzy czuli niedolę opłacających koszta tego „pysznego widoku.“

> Ale ja poczciwości nigdzie z mą laterną
> Nie znalazłszy, albo więc mało co — wracam się
> I świecę oraz gaszę i laternę schowam.

Czytelnik ciekaw, czyje to wiersze tak przypominał mi tłum, zgromadzony nad Wisłą. Krzysztofa Opalińskiego, którego *Satyry* p. K. Bartoszewicz świeżo wydał w Krakowie. Radzę wam kupić tę starą książeczkę; nietylko bowiem pochodzi ona z ręki znakomitego pisarza, ale zawiera mnóstwo gorzkich uśmiechów i dowcipnych uwag, które i dziś zastosować się dadzą. Przy tej sposobności winienem p. Bartoszewiczowi oddać to, co mu się słusznie należy. Puszcza on w świat przedruki, które mają dwie wielkie zalety: są tanie i bardzo starannie wydane. Czytając je, można być pewnym, że zamiast *orzeł* nie wydrukowano *osieł*, albo nawet zamiast *podrwił*—*Radziwił*. W naszej literaturze, zachwaszczonej tandetą, która nie zna porządnej korekty i tłoczy spokojnie najcudaczniejsze omyłki zecerskie — taka skrupulatność jest godną szczególnego szacunku.

Musi już być wielka bieda w tym względzie, skoro p. Roman Pilat wystąpi na zjeździe literackiem we Lwowie z rozprawą: o potrzebie krytycznego wydania dzieł Mickiewicza. Nie wiem, o co głównie referent będzie się domagał, ale przypuszczam, że nie zapomni i o tem, ażeby największemu z poetów polskich przyznać prawo do uczciwszej, niż dotąd, korekty. Za cenę uchwały w tym względzie zrzeknę się w imieniu jem i moich czytelników wiadomości, jak p. K. Wild jeszcze raz rozstrzygnie kwestyę własności literackiej, a nawet — co p. W. Bogusławski powie „o teatrze i jego reżyseryi.“ Przyjdzie mi zaś taka ofiara tem łatwiej, że ostatniego przysmaku mamy już dosyć a nawet zanadto. Ja bym raczej sądził, że należy pomyśléć nad lekarstwem na wstrzymanie artykułów „o teatrze i jego reżyseryi“ a jedynie skuteczny środek widzę w ponownem mianowaniu p. Bogusławskiego reżyserem. Na litość, trzeba to zrobić jak najprędzej, bo ta specyalność już nam dokuczyła.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa dzień 5 września 1884 pamiętnym w dziejach naszych nie będzie. Zjazdy literackie w skutkach swych są bezpłodne i poważnego materyału zdobyć sobie nie mogą. Jako biesiady zaś i przyjemne przepędzanie czasu mają o tyle wartość, o ile ich miejsce nie jest zbyt odległem a termin po za zwykłe ferye niewysunięty. Tymczasem Lwów — 5 września — a do tego rozprawy o własności literackiej i teatrze — niepodobieństwo!

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Ogień i woda. — Sezon pożarów. — Dwie pogorzele w Mińsku i Górce. — Co najtrudniej przechować. — Szlachetnie urodzony złodziej. — Nieco o koniokradztwie, samorządzie gminnym i *wpływach*. — Suum cuique. — Co lepsze: teatr w Lublinie czy szpital w Augustowie. — Próbki mieszczańskiej socyologii, etyki i estetyki. — Co ja wolę.

Dwa wręcz przeciwne sobie żywioły — ogień i woda sprzymierzyły się w zeszłym tygodniu na szkodę i zagładę biednych mieszkańców prowincyi. O strasznej powodzi, która nawiedziła nietylko Powiśle, ale i dopływy wielu większych rzek, czytelnicy *Prawdy* znajdą uwagi na innem miejscu; ja zaś pomówię trochę o pożarach.

Podówczas gdy w Warszawie zaczyna się t. z. karnawał letni — pora rozrywek i zabaw — na prowincyi otwiera się sezon pożarów, który w końcu czerwca i lipcu dochodzi do pełni rozkwitu. Słomą kryte zabudowania wioskowe płoną wskutek nieostrożności lub podpalenia, czyli, jak powiadają raporty wójtów gmin i strażników, z niewiadomych przyczyn. Pod drewniane domy miasteczek podkłada ogień

zwykle złośliwa ręka, tylko już nie przez zemstę, ale dla spekulacyi, o czem wiedzą najlepiej towarzystwa ubezpieczeń, ale nic na to poradzić nie mogą, chociaż te „niewiadome przyczyny“ kosztują je drogo.

Rozmiarem strat i efektownością zwrócił na siebie najwięcej uwagi pożar w Mińsku gubernialnym; to też pisma poświęciły mu całe szpalte opisów. W najlepszej części miasta spłonęło kilka ładnych domów, w których mieściły się pierwszorzędne sklepy. W jednym z nich nastąpił wybuch znajdującego się na składzie prochu, przyczem zginęło *podobno* kilka osób. Podkreślam *podobno*, bo wiadomość ta nie została dotychczas sprawdzoną, chociaż korespondenci przesłali cyfrę strat podaną przez p. Polaka i innych bogatych kupców. Zapewne 700,000 rubli jest znaczną sumą nawet dla bogatych kapitalistów, ale i życie kilku ludzi, którzy bezinteresownie ratowali ich mienie, także chyba coś warte.

Kiedy pożarowi w Mińsku poświęcono obszerne opisy, drobniutkiem petitem podano tylko wiadomość, że we wsi Górka, w powiecie grojeckim, spłonęło stokilkadziesiąt zabudowań włościańskich. Tutaj straty wynoszą zaledwie dziesiątą część poprzednich i na jednego poszkodowanego wypadnie około 500 rubli. Ale biedacy ci mieli ubezpieczone budowle na bardzo małą sumę, a oprócz nich spłonęły również inwentarze i ruchomości. Prawda, że i pp. kupcy mińscy nisko zaasekurowali swe towary, lecz to już ich wina, bo oni przecie niewiadomością i biedą tłomaczyć się nie mogą.

Z pożaru mińskiego wyniosłem wszelako pocieszające przeświadczenie, że przy dobrej woli i energii nawet z klęski skorzystać można. Bo oto gdy w jednem miejscu płonęły domy, ktoś zainteresowany widocznie w przeniesieniu pożaru na inne miejsce podpalił oficynę w gmachu pocztowym, która wprawdzie stała się pastwą ognia, ale podłożony w składzie papierów zapalony gałgan, oblany naftą, zagaszono i dokumenty uratowano. Śledztwo wykryć powinno sprawcę tej zbrodni, a mieszkańcy Mińska, pozbawieni na dni kilka możności wysyłania listów, niechaj się przynajmniej pocieszą, że papiery uratowano.

Nie wiem zresztą, jaka była ich wartość i czy w razie straty płakaliby, jak klienci pewnego notaryusza w Piotrkowie, z którego kancelaryi złodzieje wynieśli w nocy przez okno kasę ogniotrwałą, a w niej rozmaite dokumenty, pomiędzy którymi znajdowały się zapewne umowy, pokwitowania itp. złożone w depozyt. Straty tego rodzaju powetować się nie dadzą. Może chociaż ten smutny wypadek przekona kogo należy, że takie instytucye, jak kancelarye notaryuszów, albo hypoteki w powiatowych miastach, winny być należycie zabezpieczone nietylko od ognia, ale i od złodziei, co zresztą nie przedstawia niepokonanych przeszkód.

Trudniej już uchronić konie włościańskie od amatorów cudzej własności. Koniokradztwo staje się tak zyskownem zajęciem, że pociąga nawet osobistości, które mogłyby działać w innych sferach. Niedawno np. przed sądem przysięgłych w Berdyczowie stanął niejaki Dubowicki, szlachcic, posiadający patent z ukończonej szkoły powiatowej, elegant, ubrany według ostatniej mody. Jegomość ten nie pospolitował się operacyami w stajniach, ale wypatrywał po mieście naiwnych chłopków i kiedy który z nich zatrzymał się przed sklepem, on stawał w pobliskiej bramie i zgadzał się dopilnować koni. Chłop przyjmował chętnie ofiarę „dobrego pana,“ który w stosownej chwili wskakiwał na wóz i uciekał. Śledztwo wyjaśniło jeden ciekawy szczegół: wiadomo, że włościanie okupują się koniokradom i ci za pewnem wynagrodzeniem zwracają zawsze konie. Umowa święcie bywa dotrzymywaną, przez zwykłych rzezimieszków, nawet przez żydów, ale szlachetnie urodzony złodziej pozbył się i tej resztki uczciwości; od jednej ofiary wyłudził on pieniądze, koni jednak nie zwrócił.

Czyż wreszcie jest w tem co dziwnego, że giną konie z zamkniętej na kłódkę stajni a dokumenty z kancelaryi notaryusza, kiedy na obstalunek uciekają ludzie z więzienia?

W okolicach Skwiry zasłynął szeroko koniokrad Panasiuk, który nałożył haracz na cały prawie powiat. Włościanie z początku płacili, w końcu jednak sprzykrzyło im się uleganie woli jednego złodzieja, schwytali go więc i oddali do więzienia. Panasiuk związany zapowiedział, że wkrótce powróci i zemści się. Jakoż po kiku tygodniach w biały dzień zniknął z powiatowego więzienia. Przerażeni chłopi oczekują teraz jego zemsty i straciwszy do reszty wiarę w moc wszelkiego rodzaju zamków, przysięgli sobie, że nigdy już protestować przeciw złodziejskiej daninie nie będą.

Korespondent *Wieku* podaje jeden ciekawy przyczynek do kwestyi koniokradztwa. Pisaliśmy poprzednio o ujęciu bandy złodziejskiej w Zambrowie i o tem, że wójt miejscowy wydawał im wszelkie potrzebne świadectwa. Otóż obecnie korespondent donosi, że wójt ów wybrany został przez protekcyę, wbrew życzeniom ludności, za to, że ożenił się z pewną osóbką, potrzebującą gwałtownie wyjść za mąż a protegowaną przez kogoś, kto mógł zaprotegować znowu wójta.

Sprawa ta wymaga rozjaśnienia, chociażby dla dobra i powagi samorządu gminnego, który nawet według *Warsz. Dniewnika* pozostawia dużo do życzenia. Pisma nasze najczęściej braki te przypisywały odsuwaniu się inteligencyi, która znowu półgębkiem wspomina o ubocznych wpływach. Obecnie w *Dniewniku* zdaje się jeden z komisarzy włościańskich zrzuca z siebie i swych kolegów zarzut szkodliwych działań, twierdząc, że nawet żadnego wpływu wywierać nie mogą; wybory bowiem i inne sprawy gminne zależą w zupełności od powiatowej administracyi, która za zły lub dobry ich kierunek całkowicie przyjąć winna odpowiedzialność. Bezstronność każe mi przytoczyć ten usprawiedliwiający pp. komisarzy argument, ale również za ich przykładem odpowiedzialności jego na siebie nie biorę.

Lublinianie zabrali się z wielkim zapałem do budowy nowego teatru. Gmach ten kosztować będzie ze dwakroć stotysięcy rubli. Nie mamy nic przeciw teatrowi wogóle, ale czyż ubogie miasto, pozbawione biblioteki, muzeum, szkół powinno myśleć o takim zbytku? Od lat kilkunastu obywatele miejscowi oczekują z upragnieniem szkoły realnej, na utrzymanie której niema dotąd odpowiednich funduszów. Kiedy amerykanie zakładają miasto, najpierwszym budynkiem publicznym jest szkoła, potem biblioteka i szpital. My starzy cywilizacya zaczynamy od teatru, bodaj chociaż skończylibyśmy na szkole.

Widocznie mieszkańcy Augustowa mniej są przejęci tradycyą cywilizacyi, więc też nie marzą o teatrach, ale ze skromnych środków swoich wybudowali mały szpital. Dobrzy ludzie pośpieszyli im z pomocą, jakiś doktór z Suwałk ofiarował instrumenty chirurgiczne, inni drobniejsze ofiary i powoli złożyła się całość.

Niejednokrotnie już wspominaliśmy o przesileniu, jakie dotknęło nasz przemysł fabryczny. Zmniejszenie produkcyi nietylko obniżyło płace robotników, ale część ich skazało na przymusowe bezrobocie i nędzę. W rezultacie nastąpiło zwiększenie liczby kradzieży i rabunków, do czego wzięli się bardziej zepsuci lub energiczniejsi; słabsi zaś i uczciwsi zaczęli zdobywać kawałek chleba żebraniną. Nie występujemy w obronie tego rodzaju zajęcia, ale i trudno go potępić, kiedy żołądek odzywa się o swoje prawa. Nie dziwimy się też, że mieszkańcy Łodzi, zwłaszcza kobiety udzielają biedakom wsparcia. Inaczej jednak sądzi surowy *Dziennik łódzki*, który co prędzej chciałby wytępić żebraninę i włóczęgostwo, „te dwie zakały każdego społeczeństwa.“ Strofuje więc litościwe panie, twierdząc, że miłosierdzie podobne jest szkodliwem a nawet niepotrzebnem. „Biedni miejscowi znajdują dostateczne wsparcie w tanich kuchniach i Towarzystwie ku wspieraniu ubogich — *obcych zaś wysyła policya do miejsca przeznaczenia* (!).“ Ten ostatni frazes jest szczytem mieszczańskiego samolubstwa, które o tyle tylko usuwa nędzę, o ile ona razi mu oczy. A że tam „na miejscu przeznaczenia“ (zapewne miejsce urodzenia) biedacy umierać będą z głodu, to już nie obchodzi nas wcale, bo my przecież przedśmiertnych ich konwulsyj widzieć nie będziemy.“

Z tej samej racyi powstaje również *Dziennik* na „wysoce nieestetyczne ukostyumowanie pachołków rozwożących węgle do samowarów,“ na co zwraca uwagę policyi i żąda od niej przeprowadzenia estetycznej reformy. Z pobłażliwością powiada organ łódzki: „nie żądamy od nich ubrania czystego, mogłoby jednak ono być połatane i nie razić strzępami obwisłymi, zwłaszcza przy braku bielizny pod spodem.“

W ten sposób *Dziennik łódzki* spełnia obywatelskie posłannictwo prowincyonalnego pisma; doprawdy wolę już poczciwą kumoszkę, *Gazetę lubelską*, która naiwnie przeprasza niektórych prenumeratorów za doręczenie im rozerwanych numerów, ponieważ w mieszkaniu pani K. pies pokąsał roznosiciela i poszarpał egzemplarze *Gazety*. To rozumiem.

X. X.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 25 czerwca.

W połowie lipca, jak już nadmienialiśmy poprzednio, odbędą się wybory do sejmu morawskiego, który został rozwiązany. Dziś już wszakże pewnem jest, że czesi nie mogą w nim liczyć na większość głosów. Pocieszającym jednak objawem jest ugoda między niemiecko-centralistyczną kuryą wielkich właścicieli ziemskich a t. z. partyą środka, którą przyprowadził do skutku poseł z Moraw i przywódca klubu „zjednoczonej lewicy“ — Chlumetzky. Podstawą jego jest dążenie do złagodzenia walki narodowościowej. Było to kroplą, przepełniającą naczynie centralistycznego oburzenia. Wiadomo, że lewica w wiedeńskiej Radzie państwa składa się z dwóch grup: t. z. wierno-konstykucyjnych i postępowców, które różniły się pod wieloma względami, połączyła zaś je w jedną całość chęć obalenia gabinetu Taaffego. Obecnie postępowcy przedzierzgnęli się w partyę czysto-niemiecką i podczas wyborów zamierzaja wystąpić samodzielnie. Na czele ich stanął Plener. Partya ta, która nazywa się narodowo-niemiecką, jako jeden z punktów programu wystawia nadanie Galicyi zupełnej odrębności. Projektuje także podział Czech na dwie części: czeską i niemiecką. Wierno-konstytucyjni czynią starania, żeby przywrócić zgodę, może nawet na razie uda im się to, ale różnice zarysowały się tak wyraźnie, że rozbicie się lewicy na dwa odłamy jest już tylko kwestyą czasu.

Ostateczny rezultat wyborów do sejmu węgierskiego wykazuje 231 zwolenników rządu i 175 członków opozycyi, a więc większość ministeryalna wynosi 56 głosów. Dzienniki opozycyjne obliczają ją tylko na 42 głosy. Zasługuje na uwagę, że kiedy w poprzednim sejmie zasiadało 5 antisemitów, obecnie jest ich 17. Tryumf swój zawdzięczają temu, że agitowali w duchu socyalistycznym.

W d. 23 czerwca jednocześnie przedstawiono umowę anglo-francuską w sprawie egipskiej Izbom prawodawczym Francyi i Anglii. Treść jej mało różni się od podanego przez nas poprzednio tekstu, nowem jest tylko oświadczenie, że dla uspokojenia opinii publicznej w Anglii rząd francuski składa oświadczenie, iż zrzeka się przywrócenia wspólnej kontroli i obowiązuje się nie podejmować zbrojnej interwencyi bez zgody Anglii, oraz że rząd angielski przedstawi mocarstwom projekt neutralizacyi Egiptu. Ogłoszenie umowy sprawiło niezoczekiwane wrażenie; opinia publiczna w Anglii przyjęła ją z zadowoleniem, natomiast prasa francuska nie kryje się z niechęcią i uważa poczynione ustępstwa za zbyt wielkie.

Rząd rzeczypospolitej ma jednak czem zatkać usta niezadowolonym krzykaczom, bo świeżo właśnie za skromne wynagrodzenie 300,000 franków władca przyległej do Tonkinu Kambodży oddał swe państwo pod protektorat Francyi, która tym sposobem zyskała bez wojny obszerne terytoryum z dwumilionową ludnością.

Nie tak szczęśliwie idą kolonizacyjne projekty księcia Bismarka. Dla obudzenia popędu w tym kierunku i utrzymania związku między nowemi, nieistniejącemi jeszcze osadami a ojczyzną, zażądał on od parlamentu kredytu na wyposażenie kilkunastu statków pocztowych. Pomimo, że kanclerz osobiście w komisyi bronił swego żądania, ta ostatnia, biorąc na uwagę ograniczone nader stosunki Niemiec z zamorskimi krajami, wniosek odrzuciła.

W ten sam sposób postąpiła komisya, wybrana do rozpatrzenia wniosku posła Czarlińskiego, dotyczącego równouprawnienia języka polskiego w prowincyach przyłączonych do Prus po 1772 roku. Uchwała doradza parlamentowi odrzucenie wniosku, co zresztą łatwo było przewidzieć.

Nominacye do rady stanu zostały już ogłoszone, większość członków stanowią urzędnicy, których jest aż 41, a pomiędzy dwudziestu kilku pozostałymi znajduje się kilku służalczych profesorów i dwunastu wielkich właścicieli, również przychylnych rządowi. Ta nowa instytucya, której prezesem jest następca tronu a wice-prezesem kanclerz, nie narobi chyba nigdy temu ostatniemu kłopotów.

Książe Oranii umarł, następczynią tronu holenderskiego została maleńka jego siostra, ale w księstwie luksemburgskiem należącem do Holandyi obowiązuje t. z. prawo salickie, odsądzające kobiety od tronu, który przechodzi do domu nasauskiego. Otwiera się więc nowa kwestya luksemburgska.

W Eberfeldzie aresztowano jakąś kobietę, która niedawno przybyła z Ameryki i znaleziono przy niej sporą ilość dynamitu. Posądzają ją o chęć wykonania zamachu na życie cesarza Wilhelma. Podejrzanego o ten zamach mężczyznę zatrzymano znowu w Wiesbadenie. Dzienniki to zaprzeczają owym wiadomościom, to je potwierdzają, w każdym razie rzecz cała wymaga ściślejszego sprawdzenia.

To samo da się powiedzieć o zamierzonym zamachu na Watykan i kościół św. Piotra, o którym policya włoska zawiadomiła rząd papieski.

W przyszłym roku następują wybory prezydenta Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki; obecnie odbywają się konwenty obu partyj republikańskiej i demokratycznej, które wybierają kandydatów. Konwent republikański po kilkakrotnem głosowaniu zgodził się na Blaine'a, ale opinia nie bardzo jest z tego zadowolona. Zdaje się więc, że demokraci mają nadzieję wygranej. Kandydat ich Tilden zrzekł się wyboru, na miejsce jego zgromadzenia kilku stanów zalecają gubernatora New-Yorku Clevelanda. Ogólny konwent demokratyczny wkrótce już się zbierze.

Sejm rumuński zamknięto; przy wyjściu z sali minister Bratiano został znieważony przez kilku kandydatów. *Sic transit...* popularność agitatorów z 1848 r., którzy swoje rewolucyjne pierworodztwo sprzedali za ministeryalną soczewicę.

Tulon. Było tu kilka wypadków śmierci przypisywanych cholerze. We czwartek w z. tygodniu zmarła 1 osoba, w piątek 2, w sobotę 4, w niedzielę 13. W Marylii zebrała się komisya sanitarna dla obmyślenia środków ochronnych. W Europie panuje usprawiedliwiony przestrach.

CUDZE GŁOSY.

Warszawskij Dniewnik uskarża się nie na brak, ale na zbytek współpracowników, zwłaszcza z szeregów uczącej się młodzieży:

„Ucząca się młodzież, nie wyłączając i brodatych studentów, zaofiarowała swe usługi teraźniejszej redakcyi *Dniewnika*, od pierwszych jej kroków na tem polu. Studenci i gimnaziści bez różnicy wyznania i pochodzenia, przeważnie wszakże żydzi, wyrazili chęć zaradzić naszej słabości — swemi siłami, swemi wiadomościami, swymi talentami.“

Okazuje się jednak, że nadesłane próby są bardzo małej wartości, natomiast wszyscy młodzi autorowie dopominają się o honoraryum, a jeden z nich (również izraelita) żąda nawet wynagrodzenia za przetrzymanie w redakcyi rękopisu w ciągu ośmiu dni. Dalszy ciąg artykułu, gromiący zarozumiałość młodych pisarzów, nie interesuje nas zgoła. Ciekawe jest jednak zakończenie, chociaż mało związane z treścią.

„Czy nie za szeroko otwarliśmy przed trzydziestu laty upusty dla demokratycznego potoku? Ale przeszłości nie podobna zwrócić, trzeba jednak przynajmniej postarać się, żeby ten potok wynosił na powierzchnię społeczeństwa jak najmniej mułu z dna, trzeba, powtarzamy, założyć w miastach szkoły niższego rzędu, w których mogliby się kształcić ci, którzy nie mają ani racyi, ani powodu, ani korzyści leźć do gimnazyów i uniwersytetu.

Doprawdy coś podobnego czytaliśmy już w innem miejscu. Ah, to artykuły o proletaryacie naukowym w *Niwie*...

Moskowskija Wiedomosti ostrzegają w liście z Warszawy:

„Tutejsze drogi żelazne, to siły bojowe polonizmu. Od góry do dołu wszyscy służący na drogach Przywiślańskiego i dwóch ościennych krajów są polakami, między którymi i dotąd pozostaje wielu zagranicznych poddanych. W tutejszym kraju szczególnie wielu cudzoziemców jest na liniach Warszawsko-Wiedeńskiej, Bydgoskiej i Nadwiślańskiej. Wprawdzie ostatnimi czasy liczba ich trochę się zmniejszyła, ale to zmniejszenie postępuje tak powoli, jak gdyby nie było po co śpieszyć się z wykonaniem rozporządzenia ministeryum komunikacyi, a w dodatku na tutejszych drogach jest następstwem przechodzenia ich w poddaństwo rosyjskie. Powoływanie do służby na naszych drogach żelaznych cudzoziemców nie ma sensu teraz, kiedy tłumy swoich oblegają zarządy kolejowe z prośbami o posady. Według dokładnych wiadomości, zarząd mającej się otworzyć drogi iwangrodzko-dąbrowskiej jest zawalony już masą próśb; między kandydatami jest mnóstwo cudzoziemców, z których każdy obowiązuje się przyjąć poddaństwo rosyjskie. Przy wyborze urzędników na nową linię należałoby być po prusku ostrożnym, pomnąc, że to droga strategiczna. Pogłoska, wydrukowana w wielu gazetach, że od wszystkich służących na drogach żelaznych będzie wymagana koniecznie i to doskonała znajomość rosyjskiego języka, jest ważną pod wielu względami.“

Doprawdy czas już, ażeby *Mosk. Wiedomosti* wynalazły taką sferę służby publicznej, w której polacy mogliby pozostawać bez szkody dla państwa. Czy też w przekonaniu dziennika moskiewskiego taka sfera istnieje?

Mimowolny humor. W majowym i czerwcowym zeszytach *1884 r.* (prosimy ten rok zachować w pamięci) krakowskiego *Przeglądu powszechnego* znajduje się rozbiór prasy warszawskiej, w którym, między innemi, tkwią następujące perły mimowolnego humoru:

„Z wyjątkiem *Kuryera warsz.*. *Gazety warszawskiej*, *Wieku* i *dwóch* pism ilustrowanych, wszystkie dzienniki i przeglądy warszawskie nie obywają się bez subwencyi swoich protektorów.

„Najstarsza wiekiem *Gazeta warszawska* jest wiecznie młodą duchem, który ją ożywia i do *chwytania każdej skłania nowości* (niepodobna wypisywać, bo śmiech wytrąca pióro z ręki. Ale brnijmy dalej). Dostała się ona na tory europejskiego liberalizmu, chwaląc wszystko, co na czerwono zabarwione.“

„*Kuryer warszwski* za redakcyi Kucza „stworzył styl wyniosły,“ teraz zaś „porzucił dawną napuszystość.“

„*Kuryer świąteczny* jest przedsiębiorstwem bez wartości.“

„Najwydatniejszym reprezentantem szkoły pozytywistów jest *redaktor dwóch pism* (*Prawdy* i *Przeglądu tygod.*) p. Świętochowski. Fanatyzm, nienawiść do chrześciaństwa cechuje tego pisarza, któremu nie można zaprzeczyć talentu.“

„Smutnym jest tylko objawem, że mimo jawnego wyparcia się uczuć najsilniejszych do niedawna w naszem społeczeństwie, *Prawda* i *Przegląd tygodniowy*, utrzymują się *bez subwencyi* (patrz wyżej), owszem coraz większem cieszą się powodzeniem wśród młodzieży i w średnich warstwach inteligencyi.“

„Spasowicz i Chmielowski tworzą szkołę pozytywizmu.“

„W rocznikach *Przeglądu katolickiego* znaleźć można szereg prac *głębszych*, obok polemiki jasnej, *spokojnej poważnej*, z kierunkiem *zwłaszcza* inaugurowanym przez p. Świętochowskiego i p. Konopnicką.“

Jeszcze chwilkę cierpliwości waszej czytelnicy, już tylko — klasyfikacya.

Prasa warszawska tedy — według *Przeglądu powszechnego* — dzieli się tak:

„Pisma radykalne, *kosmopolityczno-pozytywne*: *Prawda Przegląd tyg.*

Pisma *racyonalistyczne* (jakież to boskie!) *Ateneum*, *Kraj* i *Świt*.

Pisma *liberalne i postępowe* (Jezu!): *Gazeta warszawska*, *Gazeta polska*, *Gazeta handlowa*, *Kłosy*, *Tygodnik ilustrowany*, *Bluszcz*, *Kuryer codzienny*.

Pisma konserwatywne: *Kuryer warszawski* (jak Bóg da!), *Wiek*, *Słowo*, *Rola* (ta powinna mieć swoją osobną kategoryę, należącą do p. Apfelbauma), *Biblioteka warszawska*, *Niwa*, *Kronika rodzinna*, *Przegląd katolicki*.“

Według *Przeglądu powsz.* — *Słowo*, *Biblioteka*, *Niwa* i *Kronika rodzinna* stanowią „czworobok forteczny stronnictwa zachowawczego,“ a ponieważ i w fortecy potrzebne ustępy, więc tę czynność ów „czworobok“ spełnia na *Roli*.

Chociaż naiwny Lincusz naszej prasy zachował się względem *Prawdy* jak skunks, przebaczamy mu cały ten wytrysk prawomyślności, gdyż rozbraja on nas tak szczerym i nieświadomym humorem, że niepodobna na niego się gniewać. Jest to *simplex servus Dei* w najzabawniejszym gatunku, któremu chyba jakaś księża gospodyni na wsi opowiadała, co tam w Warszawie piszą.

Są wszakże w jego opracowaniu i pouczające informacye. Tak np. powiada:

„Redaktor *Niwy*, p. Mścisław Godlewski, zbliżywszy się w Krakowie do Józefa Szujskiego, przeniósł niektóre rezultaty z walki stoczonej przez stańczyków i w granicach warszawskich stosunków stara się je przeprowadzić.“

Ciekawa rzecz, jakby też p. Mścisław Godlewski myślał, gdyby się nie był w Krakowie poznał z Szujskim?

KRZYŻOWANIE NARODÓW.

Że dziś każdy, kto rozmawia z bogiem niemieckim, zapisuje dla potomności jego słowa — to nas nie dziwi, ale że byli tak przezorni ludzie lat temu kilkanaście lub kilkadziesiąt, kiedy ów bóg był tylko hrabią v. Bismark i ministrem — to jest nieco podejrzanem. Do liczby wielu ogłoszonych drukiem zwierzeń przybyło nowe w świeżo wydanych *Denkwürdigkeiten* z życia głośnego prawoznawcy Bluntschlego. Na ten raz powaga imienia ręczy do pewnego stopnia za wiarogodność sprawozdania. Rozmowa toczyła się w r. 1868—naturalnie o sprawach politycznych. Między innemi spostrzeżeniami Bismark zauważył:

— „Wyda się to panu zapewne fantastycznem, gdy powiem, że między narodami—jak i w naturze—jedne są męskie, drugie—żeńskie. Germanowie są tak dalece męscy, że samymi w sobie poprostu rządzić niepodobna. Każdy żyje na swój sposób. Natomiast ujęci razem stają się, jak rzeka, która wszystko porywa—nieodparci. Przeciwnie słowianie i celtowie są rodzaju żeńskiego. Sami z siebie nie wydają nic, są bezpłodni. Rosyanie nie mogą niczego dokonać bez niemców: nie umieją pracować, ale pozwalają sobą łatwo kierować. Nie posiadają wcale siły oporu i ulegają swym panom. Celtowie stanowią również masę bierną. Dopiero gdy zmieszali się z germanami powstały z nich narody państwowe — anglicy a nawet hiszpanie, dopóki jeszcze na ich czele stali gotowie, i francuzi, dopóki im przewodniczył pierwiastek frankoński. Rewolucya francuska wyrzuciła go i znowu zapewniła przewagę naturze celtyckiej. Westfalczycy i szwabi są czystymi germanami ze słabą domieszką, dlatego tak trudno nawykają do państwa. Gdy ich wszakże ogarnie jakaś myśl narodowa i roznamiętni, rozbijają skały. Ale to zdarza się rzadko. Zwykle każda wieś, każdy chłop chce żyć dla siebie. W prusakach nastąpiło silne zmieszanie pierwiastku germańskiego ze słowiańskim. Jest to główna przyczyna użyteczności państwowej. Mają oni w sobie giętkość słowian w połączeniu z mocą i męskością germanów.

— Zawsze—rzekł Bluntschli—uważałem germanów za natury niepaństwowe, które z trudnością dają się w tym kierunku ukształcić, ale uwaga ta rozjaśnia mi specyalną zdolność prusaków do tworzenia państwa w przeciwstawieniu do innych plemion niemieckich.

— Powtóre—ciągnął dalej Bismark—Hohenzollernowie od początku ufundowali istotne księstwo i poddali państwu oporną szlachtę. Moja rodzina należy do szlachty, która mieszkała na prawym brzegu Elby i walczyła za władzę książęcą przeciw szlachcie lewego brzegu. W całych Niemczech szlachta zachowała niepodległość, wobec której żadne państwo ostać się nie może; tylko w Prusach nauczyła się ulegać mu i służyć. Rzeczywiście. monarchowie panowali tu absolutnie, ale ten absolutyzm służył państwu, a nie ich osobom. Nieraz kazali wieszać szlachtę dla pokazania, że nikt w Prusach nie może działać przeciw prawu. Tym sposobem Prusy wzrosły. Jakże małemi były jeszcze za Fryderyka W-go, który wyrzekł, że monarcha jest pierwszym sługą państwa. Nauki tej Hohenzollernowie nie zapomnieli. W tym duchu są wychowywani — przeszedł on w ich krew.“

W dalszym ciągu rozmowy Bismark odbył przegląd wszystkich narodów, a zatrzymawszy się przy Rosyi, rzekł:

— „Rosyanom nie potrzebujemy nic dawać za ewentualne przymierze w wojnie z Francyą. Słabą ich stroną są polacy, których jeden batalion francuski pobudziłby do powstania (kanclerz niemiecki tak jest biegły w znajomości polaków, jak francuzi w geografi). Rosyanie nie mogą wejść w sojusz z francuzami bez narażenia swych interesów (!). Polaków jest około 5 milionów (!). Reszta — Litwa — była krajem rosyjskim przez Polskę podbitym. Polacy muszą (!) oglądać się na nas i łączyć się z nami w podobny sposób, jak węgrzy. Nastąpi to samo przez się i już dziś jest widocznem (!). Jeżeli zaś rosyanie nie przestaną tępić polaków, przyjdzie to jeszcze prędzej.“

Mniejsza o banialuki, które dotąd lęgą się nawet w publicznych mowach kanclerza niemieckiego. Umie on nieraz z wielką powagą zaimprowizować taki wywód historyczny o przeszłości polskiej, że zacny prof. Caro czuje rumieńce na swej niemieckiej twarzy. Ale tu zajmuje nas oryginalna teorya etnologiczna. Narody są—według niej—dwojakiego rodzaju; męskie i żeńskie. Płeć męską przedstawiają tylko germanowie; jeżeli więc którykolwiek chce dochować się zdrowego, tj. „państwowego“ potomstwa, musi połączyć się z nimi. Inaczej grozi mu bezpłodność. Mając na uwadze tę teoryę, winniśmy nietylko uznać cywilizacyjną wartość polityki pruskiej, ale nadto zmienić stosowane do niej słownictwo etyczne. Książe Bismark nie jest zaborcą, lecz hodowcą, nie zdobywa i nie ujarzmia narodów, lecz je krzyżuje, stare panny słowiańskie i celtyckie łączy z synami Germanii i tym sposobem wytwarza dzielniejszą rasę. Gwałt w tych małżeństwach jest tylko pozornym, gdyż my, jako ród niewieści, prędzej czy później, musielibyśmy „obejrzeć się na niemców“ — nie z polityki, ale z doboru płciowego.

Ciekawa rzecz, po którym kuflu narodził się ten biologiczny koncept, który nas tego tylko uczy, że na przyszłą wystawę inwentarza powinniśmy sprowadzić sobie bodaj jednego prusaka. Może jego widok przekona nas o potrzebie skrzyżowania się z germanami, zanim to „wird sich ganz von selber so machen.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Wylew Wisły rozpostarł się na całej przybrzeżnej przestrzeni tej rzeki i jej dopływów. Z ważniejszych spustoszeń zapisać należy zerwanie kilku przęseł żelaznego mostu pod Dęblinem (Iwangrodem), które opóźni kolej Iwangrodzko-dąbrowską.

Dla ofiar powodzi grono literatów i artystów zamierza wydać pismo zbiorowe p. t. „Na pomoc.“

Popis. W instytucie głuchoniemych i ociemniałych odbył się doroczny popis wychowańców. W r. b. kształciło się w zakładzie 310 osób, a oprócz tego w oddziale przy ulicy Piwnej 66 przychodnich.

Projekt. Towarzystwo zachęty przemysłu i handlu powzięło myśl zbadania stanu drobnego przemysłu wiejskiego w Królestwie. Do wykonania tego zadania wybrano osobną delegacyę, złożoną, niestety, w większej części z ludzi, którzy posiadają może dużo dobrych chęci, ale mało znajomości rzeczy.

Nowa pożyczka rosyjska przyjdzie podobno wkrótce do skutku. O zawarciu jej czyni starania dom bankierski Mendelsohna. Bleichröder na realizacyi ostatniej pożyczki zarobił na czysto 4,000,000 rs.

Mianowanie. Na rektora uniwersytetu lwowskiego wybrany został prof. teologii ks. dr. Ludwik Kloff.

Prasa polska. Redakcya *Hodowcy* otrzymała pozwolenia podnieść cenę prenumeracyjną pisma i dołączać dodatek bezpłatny pt. *Kronika rolnicza*, obejmujący dział ekonomiczny, artykuły z zakresu rolnictwa, leśnictwa, ogrodnictwa i korespondencye.

— Od 1 lipca ukaże się nowy dziennik pt. *Chwila*, poświęcony przeważnie sprawom prowincyonalnym.

Uspławnienie rzek. Ministeryum komunikacyi wyznaczyło kilku inżenierów dla zbadania Pilicy, Nidy i Kamionnej oraz opracowania sposobów regulacyi tych rzek.

Jeszcze komisya. Przy ministeryum oświaty utworzoną została komisya, która zajmie się reformą systemu wykształcenia kobiecego w zakładach rządowych.

Odmowa. Rząd gubernialny kielecki otrzymał decyzyę władz wyższych, niezgadzającą się na zawiązanie Towarzystwa kredytowego dla miast w połączeniu z Tow. kred. ziemskiem. Natomiast minister spraw wewnętrznych zapatruje się przychylnie na utworzenie dla każdego miasta oddzielnego Towarzystwa wzajemnego kredytu. W tym celu wolno czynić starania.

Warszawskij Dniewnik donosi, że księżna Masalska otrzymała pozwolenie otwarcia w Warszawie kursów języków nowożytnych (oprócz polskiego) dla kobiet. Przyjmowane będą tylko te osoby, które ukończyły gimnazyum, albo zdały egzamin na nauczycielki.

Władze duchowne prawosławne poleciły wycofać z bibliotek szkół duchownych i zniszczyć komplet za lat ostatnich dwadzieścia czasopisma *Otieczestwiennyja Zapiski*.

Wydanie. Jak donoszą pisma codzienne w Freiburgu schwytany został znany rewolucyonista rosyjski Dejcz, który uwięziony za t. z. sprawę czyhiryńską zdołał uciec z więzienia kijowskiego; obecnie Dejcz wydanym został przez władze niemieckie Rosyi.

Antisemickie rozruchy. W okolicach Kryworogu gub. ekaterynosławskiej gromada włościan z g. połtawskiej, przybyłych do roboty, napadła na kolonię żydowską, zniszczyła i porabowała domy. Dopiero pomoc niemców kolonistów pozwoliła odpędzić napastników, z których kilku zaledwie aresztowano.

Akademia francuska przyznała pierwszą nagrodę poetyczną p. Leconte de Lisle za utwór jego p. t.: *Poemes tragiques*.

Bibliografia polska. Adolf Bachner *Ważność hodowli drobiu*. Warszawa.

Polacy w Hiszpanii. Według urzędowej statystyki znajduje się w Hiszpanii 425 polaków, z których 320 mówi w życiu domowem językiem rodowitym.

Więzienia. W Cesarstwie i Królestwie znajduje się się 1631 więzień, mogących pomieścić tylko 53,000 osób, zwykle zaś znajduje się w nich nad etat 13.000 ludzi.

Austryacka przychylność. Wskutek opodatkowania przemysłu naftowego w Galicyi, produkt ten nietylko że nie wychodzi za granice prowincyi, ale obecnie konkurować musi z naftą rosyjską, która w Krakowie kosztuje daleko taniej. Kolej Warszawsko-Wiedeńska ma obecnie w ruchu 70 wagonów, zajętych przewozem Noblowskiej nafty.

Statystyka. W Petersburgu na dwieście kilkadziesiąt tysięcy osób, będących w stanie małżeńskim, prowadzi życie wspólne tylko 68,000. Liczba dzieci nieprawych stanowi w tem mieście 41% urodzeń a w Moskwie 50 i pół proc., podczas gdy nawet w Paryżu tylko 33%.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Uczniowi. Można.

P. St. Raciborskiemu. Adres *Gazety Świątecznej*: Księgarnia K. Prószyńskiego, Krakowskie Przedmieście, 45.

X. w Płocku. Jest to sprawa wyłącznie osobista.

P. G. w Petersburgu. *Kraj* według zapisu nie miał prawa robić *żadnych* komentarzy nad wyrokiem sądu honorowego, a więc i tych, które zamieścił. Tak właśnie, spełniając obowiązanie *honorowo*, my postąpiliśmy. Że zaś on radby coś jeszcze swemu redaktorowi do szczodrego wyroku dodać, no, to dla nas podobna chęć odmierzenia sobie sprawiedliwości z dosypanym własną ręką czubem jest w tem piśmie nie dziwną, a tak dalece obojętną, że nas do wzajemnych komentarzy nie pobudza.

Nur einen Augenblick. Żadnych bezimiennych doniesień i żadnych sprawozdań od osób nam nieznanych—nie pomieszczamy.

Dr. L. B. w Astrachaniu. Numer wysyłamy: należy nam się kop. 20. Prenumerata *Albumu* w Warszawie miesięcznie rs. 1 kop. 60 (rocznie rs. 18). Ile z przesyłką, nie wiemy. Adres nakładcy: Robiczek. Krakowskie Przedmieście, 41.

P. Kos. Szczegóły gospodarstwa w tym „ogrodzie aklimatyzacyjnym“ są nam znane; ale tylko na wiadomości o nich poprzestać musimy.

OFIARY.

Dla biednych. Studenci uniwersytetu moskiewskiego rs. 4.

Dla powodzian. A. Świętochowski rs. 5; Rzeszotarska rs. 1; Antuszewicz z Uzłowej rs. 5.

Sprostowanie. Zmarły malarz Chlebowski, którego nekrolog zamieściliśmy w nrze poprzednim, nosił imię *Stanisław*, nie jak mylnie wydrukowano *Bronisław*.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Іюня 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.